

Drogi wyjścia z kryzysu (str. 3); **Dęblińska „Szkoła Orłąt”** (str. 5,6); **Rok 1918 w Lublinie** (str. 6—7); **„Energopol” w Briańsku - o budowie eksportowej bez retuszu** (str. 12—13); **Humoreski z Izraela** (str. 16)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 19 (917)

18 września 1988

Cena 35 zł

Kazimierz Andrzej Jaworski

Olimpiada Parados

Ja, człowiek wolny i bez skazy,
co społeczeństwu tylko służę,
co tylko ludu znam rozkazy
i prawa jego jestem stróżem;

Ja, co się brzydzę wszelką zbrodnią,
co nie chcę okrucieństwa wojny,
a pokój światu pręcą co dnia,
ufny w swą siłę i spokojny;

Ja, co nie pragnę ziemi cudzej,
a własnej nie dam ani grzędy,
ja, co się całym życiem trudzę,
by dojrzewały młode pędy;

Ja, człowiek wolny, niesplamiony —
zgodnie z helleńskim obyczajem —
sprawny do pracy i obrony,
na tym stadionie dzisiaj staje.

Wierszem tym otworzył K. A. Jaworski swój cykl utworów pt. „Olimpiada”, napisany w 1952 r., przed Olimpiadą w Helsinkach. Przypominamy go w związku z rozpoczynającą się właśnie Olimpiadą w Seulu, dodając jednocześnie że 6 września minęła 15 rocznica śmierci Autora. Założyciela „Kamena”, która w tym miesiącu obchodzi (skromnie) swe 55-lecie...

Szok węglowy

Andrzej W. Pawluczuk

LĘCZNA jest stara i zaniedbana, chociaż widać, że dokłada się tu starań, aby miasto wyglądało czysto i schludnie. Jadąc od strony Lublina mija się najpierw długą szachownicę pól i poletek, po czym zjeżdża stromo w dolinę Wieprza, która jest tutaj szeroka i o tej porze przyjemnie zielona. Przyjemnie jest zaś dlatego, że czysto, a poutykane wśród drzew maleńkie domeczki przywołują świat baśniowej sielskości. Zaraz za rzeką zaczyna się zwarta zabudowa miasta, chociaż miasto to jeszcze przypomina wieś. Duże ogrody wokół domów, a nawet i typowe obejścia rolnicze ze stodołami, oborami i chlewami. Prawdziwe miasto to dopiero nieregularny czworobok, którego północną granicę wykreśla w przybliżeniu linia łącząca synagogę — kościół św. Magdaleny, a granicę południową wyznacza stary ratusz, mieszczący obecnie Urząd Stanu Cywilnego.

Tylko ktoś, kto umie czytać ze starych kamieni, domyśli się, że jest to bardzo stare miasto, które miało w swojej historii okresy prawdziwej pomysłowości. Wprawdzie zabudowa starej Łęcznej jest dużo, dużo młodsza niż jej pięćsetletnie dzieje, to jednak nietrudno zgadnąć, że w tych filigranowych domkach musiało kwitnąć rękodzieło i handel, a zajazdy i karczmy gościnnie zapraszały strudzonych wędrowców.

Bliskość synagogi podpowiada, że większość mieszkańców starego miasta stanowili Żydzi. Przedsiębiorczy, ruchliwi i pracowici byli przez wieki nieodłączną częścią tutejszego krajobrazu i stylu życia. Starzy łęcznianie pamiętają ich i ich małe sklepiki, w których dostać można było wszystko na kredyt. Te sklepiki, kramy, piekarnie i jatki otwierało się wtedy wcześniej i wraz z nastaniem dnia stukwały o chodniki damskie pantofelki, a od ulicznego bruku odbijał się odgłos końskich podków i wozów. A po południu, gdy jedni kupili, a drudzy sprzedali co mieli do sprzedania, na ulice wychodzili zmiataacze uzbro-



Fotomontaż: „Stern” i Waldemar Stępień

Razem, młodzi przyjaciele!

Dokończenie na str. 4—5

„Okragły stół” - punkty widzenia

RYSZARD BENDER: Uważam za ogromnie ważne, wręcz przełomowe, to, że doszło do spotkania przedstawicieli najwyższych władz partii i państwa, jakim jest generał Czesław Kiszczak, z Lechem Wałęsą. Trzeba powiedzieć wprost, że traktowanie przez naszą propagandę człowieka cieszącego się trwałym autorytetem w społeczeństwie, laureata pokojowej Nagrody Nobla wyłącznie w kategoriach osoby prywatnej było błędem. Błąd jest teraz naprawiany, co kieruje również uwagę na partnera Lecha Wałęsę za okrągłym stołem. Fakt, iż jest nim szef resortu spraw wewnętrznych, dysponujący szerokimi uprawnieniami represyjnymi, wielu obserwatorów zagranicznych uznano zapewne za kolejny polski paradoks. Tymczasem właśnie ten minister inicjuje dialog z opozycją, zaprasza do spotkania, które zapowiada się interesująco. Nie wyobrażam sobie jednak, aby poprzestano tylko na jednym spotkaniu, jednej rozmowie. Zbyt wiele nagromadziło się przez ostatnie lata problemów, oczekiwań i nadziei. Dlatego też sądzę, że ten „okrągły stół” powinien być stołem nieustającego dialogu dopóty, dopóki nie stworzymy właściwych form prezentacji różnych stanowisk i poglądów.

Tymczasem nasze życie publiczne nadal jest ubogie, a zamiast prawdziwego dialogu funkcjonują ciągle jeszcze fasadowe namiastki instytucji i organizacji politycznych. [...] Sprawą zasadniczą nadal, jednak pozostaje stan naszej gospodarki. W moim przekonaniu, mnożenie rad, konwenty, ciał doradczych etc., odwraca właściwie uwagę od problematyki ekonomicznej. Proponuję więc, aby zamiast de-liberować nad kształtem paktu antykrzysowego, zdecydować się na powołanie, powołanie, komitetu oceny gospodarki narodowej. Powinno on liczyć nie więcej jak 10-15 osób — wybitnych fachowców, obdarzonych zaufaniem społeczeństwa. Należałoby mu zapewnić nadzwyczajne pełnomocnictwa i umożliwić bezpośredni wpływ na kierunki działań rządu.

„Życie Warszawy”

Ryszard Bender, historyk, profesor KUL, prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Lublinie.

JAN GŁÓWCZYK: Cierpliwości i odwagi w szukaniu niekonfrontacyjnych wyjść nigdy nie powinno nam zabraknąć. [...] Radykalnym przeobrażeniem w gospodarce musi towarzyszyć reforma systemu politycznego. Rzecz w tym, abyśmy doszli do porozumienia w sprawie konkretnych posunięć, których celem jest współdziałanie w reformowaniu gospodarki i państwa, zharmonizowanie socjalistycznych, humanistycznych wartości z naszymi tradycjami, z doświadczeniem historycznym narodu. W imię tego porozumienia trzeba walczyć z wyzicielami opozycyjności destrukcyjnej. Przedstawiciele takiej tendencji odrzucają wszelkie propozycje i wszystkie formuły porozumienia. Usiłują stworzyć wrażenie, że mają jakieś cudowne rozwiązania, dzięki którym bez pracy, bez wzmoczonego wysiłku, bez mądrych kompromisów można osiągnąć dobrobyt i pomyślność narodową. Jest to wprowadzenie współobywateli w błąd, nie tylko dlatego, że występują przeciw socjalizmowi. Ale dlatego, że w istocie blokują narodowe porozumienie, przeciwstawiają się reformom w gospodarce i demokracji życia społecznego, trzymając się uparcie twierdzeń o nieremontowaniu socjalizmu.

Powinniśmy być otwarci i cierpliwi w wysłuchaniu innych opinii i argumentów, uczyć się z nich korzystać nawet jeśli są niesprawdzone czy przejawione. Na tej samej zasadzie powinniśmy jasno wyrazić nasze opinie. Dotyczy to między in-

nymi stosunku do strajków. Ubogi i niemoralny jest argument, iż wobec popełnionych przez władzę błędów strajki, które przyniosły strajki, można usprawiedliwić. Tak twierdzić to znaczy, używając słów Mickiewicza — zło dodawać do zła.

„Trybuna Ludu”

Jan Głowczyk, publicysta, sekretarz KC PZPR.

MARIAN GULCZYŃSKI: Co powinno być główną sprawą „okrągłego stołu” środowisk władzy i opozycji? Oczywiście — odblokowanie powszechnej, spontanicznej, pozytywnej aktywności gospodarczej, stanowiącej potężną rezerwę środków do przełamania kryzysu zniewalającego polskie społeczeństwo.

„Życie Warszawy”

Marian Gulczyński, politolog, profesor w Instytucie Państwa i Prawa PAN.

MARIAN KOZŁOWSKI: Jestem przeciw wszystkim działaniom pozbawionym wyraźnie określonego i realnego celu. Czego można się spodziewać po takim porozumieniu? Przetargów i kompromisów. W najlepszym wypadku — wspólnych deklaracji tak ogólnikowych, że praktycznie pozbawionych sensu. Proponowani partnerzy takich porozumień różnią się nie tylko poglądami, ale i tym, że ich obiektywne interesy wzajemnie się wykluczają. Więc nie wiem, jakie mogłoby być konstruktywne porozumienie między ludźmi, którzy chcą się przy władzy utrzymać, a tymi, którzy chcą ją przejąć.

„Sprawy i Ludzie”

Marian Kozłowski, publicysta „Gazety Robotniczej” we Wrocławiu.

HIERONIM KUBIAK: O czym zatem trzeba rozmawiać? Ano, właśnie o tym, co komu w duszy gra i to w sposób otwarty, bez hasel ogólnych, sloganów, zakłęb. Tak, abyśmy sens różnicy stanowisk mogli usłyszeć w naszych domach i aby tam, po rozmowie z samym sobą, zapadły nasze osobiste decyzje. Tam, a nie na wiecowej ulicy czy w strajkowym zapamiętaniu. O ścieżce krytycznej polskich spraw — może niktogo nie zadowalającej do końca, ale dla większości do przyjęcia, bo realnej, bo dającej szansę przywrócenia rytmu rozwoju i nadziei. Rozmawiać z osobami symbolizującymi siły rzeczywiste polskiego konfliktu i niezależnie od tego, kto, co i o kim wcześniej, w atmosferze walki politycznej powiedział.

Do czego dojść w rozmowie? Do instytucji gwarantujących realny wpływ podstawowych sił społecznych na realizację wspólnie przyjętego programu naprawy Rzeczypospolitej. Sens owych instytucji był określany wielokrotnie w czasie każdego z wielkich polskich kryzysów i zawsze budził otuchę. Zawiera się on w formule demokracji uczestniczącej, to znaczy współtworzącej władzę na każdym z jej poziomów, rodzącej skuteczne sposoby wyznaczania celów i wiarygodnej kontroli stopnia ich realizacji, a także poprzez uczestnictwo — nieanonimowa odpowiedzialność. Takie było również, dla mnie ciągle aktualne i zarazem najważniejsze, polityczne i moralne przesłanie IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR.

„Życie Warszawy”

Hieronim Kubiak, socjolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju.

STANISŁAW KWIATKOWSKI: W tym, co słyszę o pomysłach „okrągłego stołu”, najwięcej jest akcentów patriotycznych. A dla mnie jest to spotkanie ludzi reprezentujących przede wszystkim różne grupy interesów. Chociaż stół ma być okrągły, zasiadają przy

nim układające się strony. Liczą się trzy: partyjno-rządowa, opozycyjna i kościelna. Ta ostatnia, jak dotąd, zbija przy tego typu okazjach największy kapitał. Również polityczny, chociaż tego się wypiera. Od roku 1980 kapitał ten tak się powiększył, że teraz hierarchia kościelna może dać komu chce jałmużnę z łaski mediatora i moderatora. [...] Parę zdań o sytuacji wewnętrznej. W mojej ocenie jest patowa. Dlaczego? Bo, jak dotąd, główne siły polityczne — legalne i nielegalne — nie są w stanie sprostać swojej roli: ani zmobilizować społeczeństwa do działania według programu konstruktywnego, poderwać go do wysiłku, jaki jest konieczny, by wyjść z „tunelu” — co jest zadaniem władzy; ani zorganizować do ogólnego protestu przeciwno nieskutecznej polityce — co jest celem opozycji. [...] O sile ugrupowania politycznego decyduje jego baza społeczna. Legalne struktury władzy mają poparcie znaczącej większości społeczeństwa, chociaż od jesieni ubiegłego roku poparcie to wyraźnie maleje. [...] Przeciwnicy PZPR zbierają punkty na niepowodzeniach dotychczasowej polityki gospodarczej.

Dla ponad połowy dorosłego społeczeństwa, dotąd zupełnie biernej politycznie, jest obojętne, kto rządzi, wszystko jedno, ci czy tamci, „byle mądrze i skutecznie”. Wyraża się to w powszechnych opiniach w rodzaju: „niech by ktoś wreszcie zrobił porządek”; „dopuszcz do władzy ludzi mądrych, którzy znają się na gospodarce” itp. [...] Oczywiście najważniejsze sprawy dla Polski i Polaków nie rozwiążą się przy okrągłym stole. Dialog elit — to za mało. Przesądza to, co dzieje się w gospodarce, w przedsiębiorstwach, stosunek ludzi pracy. Ze wszystkich nawoływania o demokrację, najważniejsze do zrealizowania są postulaty rozwijania różnorodnych form demokracji produkcyjnej (przemysłowej). Nie ma co liczyć na ową upragnioną przedsiębiorczość i branie spraw we własne ręce przez załogi robotnicze, jeśli losy samorządów, rad pracowniczych, grup partnerskich i innych zespołowych form organizacji pracy będą tak skutecznie blokowane przez biurokrację, jak dotychczas.

„Życie Warszawy”

Stanisław Kwiatkowski, politolog, docent, dyrektor Centrum Badania Opinii Społecznej.

ALEKSANDER PASZYŃSKI: Opozycji w ogóle nie jest łatwo. Dlatego nie potrafiła zbyt jasno wyartykułować swoich racji. I to jej dylemat. Bo co to jest u nas opozycja? Przecież nie żadna ujęta w ramy organizacyjne struktura. I nie reprezentacja jakiegos ruchu. A tylko wyraz protestu. I tak od początku. [...] Ludzie widzą, że dotychczasowe formy protestu przynoszą więcej ofiar niż pożytku. W końcu lat siedemdziesiątych też istniała taka obojętność. Na krótko przekreślił ją Sierpień. Ale dość powszechny powrót do zobojętnienia powinien skłaniać tę niekiedy bliżej opozycję do ponownego zaktywizowania mas. [...] Teraz potrzebujemy form przejściowych: klubów politycznych, stowarzyszeń, które powinny ewoluować, przekształcać się w partię. Każde normalne społeczeństwo potrzebuje pluralizmu, żeby wyrażać swoje przekonania. Ale obecnego układu nie można wymazać jednym ruchem. I, póki nie nastąpią określone zmiany, w całym bloku socjalistycznym nie da się mówić o wymarzonej modelu demokratycznym. W swoich propozycjach przewidziałem dwuletni okres na proces przekształceń. Najważniejszy problem, to dzwignięcie gospodarki, następnym: zmiana Konstytucji i odchodzenie od systemu monopartyjnego.

[...] Tak czy owak spodziewam się, że sytuacja zmusi władzę do głębszych niż dotąd modyfikacji systemu. To, co się

dzieje z krajem, powinno też wpłynąć na zmianę optyki po stronie opozycji. Nie można dłużej czekać biernie na rozwój wydarzeń. Filozofia typu: „im gorzej, tym lepiej” do niczego nie doprowadzi. Podejmowanie wspólnych rozmów jest teraz koniecznością. Nie wolno dopuścić do takiego upadku kraju, żeby już nie było co podnosić.

„Tygodnik Powszechny”

Aleksander Paszyński, publicysta (dawnej „Polityki”), działacz gospodarczy, prezes spółdzielni „Murator”.

ANDRZEJ STELMACHOWSKI: Kościół, nie będąc stroną w sporze, jest w stanie ułatwić spotkanie się ludzi, którzy w obecności przedstawiciela Kościoła rozmawiają z sobą innym tonem niż bez tej obecności. Poza tym jest to swoisty świadek mogący poświadczyć, w jakim kierunku szedł dialog i kto jest odpowiedzialny za sukces lub klęskę negocjacji. To bardzo ważne. Nie angażując się bezpośrednio politycznie, Kościół może wywrzeć pewien wpływ na kształt rzeczywistości. [...] Idzie przede wszystkim o to, żeby nie stwarzać niepotrzebnych płaszczyzn tarć, a z drugiej strony umieć występować stanowczo z propozycjami konstruktywnymi i z takimi działaniami. Nie należy do maksymalistów, którzy uważają: wszystko, albo nic. Wydaje mi się, że krok po kroku, cierpliwie, trzeba kształtować rzeczywistość.

„Tygodnik Powszechny”

Andrzej Stelmachowski, profesor Instytutu Nauk Prawno-Administracyjnych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Katedry Prawa Cywilnego ATK, prezes Warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej.

RYSZARD WOJNA: Wiele przemawia za tym, iż przeobrażenia, jakie zachodzą w systemie politycznym Polski Ludowej, zmierzają do ustrojowej akceptacji istnienia opozycji i włączenia jej we współodpowiedzialność za państwo. Przedmiotem rozmów winny być zatem granice tej współodpowiedzialności, zarówno na płaszczyźnie polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej.

Jedną z najważniejszych kwestii, stosunek do której byłby miarą politycznej dojrzałości opozycji, jest jasne ustosunkowanie się do współczesnej polskiej racji stanu. Tylko Polska przyjazna Związkowi Radzieckiemu i uważana przez ten za solidny element jego systemu bezpieczeństwa, ma szansę pokojowego rozwoju. Gdyby Polska — przy dzisiejszym układzie sił na świecie — zeszła z drogi przyjaźni z ZSRR, zmusiłaby Moskwę do fundamentalnej zmiany radzieckiej koncepcji bezpieczeństwa. W przeszłości cenę tego zawsze płaciła Polska. Sądzę, że ta część opozycji, która odwołuje się do rodowodu narodowej demokracji, dobrze rozumie istotę i wagę tego problemu.

„Polityka”

Ryszard Wojna, publicysta (obecnie głównie „Rzeczypospolitej”), przewodniczący Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych.

I jeszcze głos Hieronima Orzeszka, autora stałej rubryki „Z notatnika ukazującego się we Wrocławiu tygodnika „Sprawy i Ludzie”:

HIERONIM ORZESZEK: Wyświetlona została konstruktywna propozycja, aby wierni zwolennicy „Solidarności” zorganizowali się w Klubie Myśl Politycznej pod tą nazwą. Pewnie, można niby tak, ale, jak pamiętam z lektury o Rewolucji Francuskiej, kiedyś nazwy klubów brano od imion patronów kościołów, w których się zbierano — np. od świętego Jakuba. Stąd właśnie jakobini. Jakby to więc brzmiało w naszym własnym wydaniu — brygadyści? To się fajnie rymuje z „Mśmi”...

z notatnika

IIIX. Trudno mi wracać do kame-nowego „Notatnika” po prawie sześć-cioniesięcym urlopie wypoczynko-wym, zaległym zresztą. Dziennikarz po piętnastu latach pracy korzysta z sześciotygodniowego wypoczynku. Niech nikt nie zazdrości: średnia wieku mężczyzn, pracujących w tym zawodzie, wyniosła w ub. roku 56,2 lat. Jak wynika z badań, co trzeci dziennikarz cierpi na choroby układu krążenia!

U (częściowo) odciążał mi się z

roku na rok i tak się uzbierało. Od 1981 r., czego komentować nie muszę.

Prawie przez cały czas przebywałem w Lublinie, tu i ówdzie pisywałem, ale do redagowania „Kamenu” zupełnie się nie wtrącałem, czemu zresztą dał wyraz kol. Maciej Podgórski w notatce „Pro domo sua”, wydrukowanej w poprzednim numerze pisma. Jaka była w tym czasie „Kamena”, to już zależy od odczuć poszczególnych czytelników. Ja je też mam, ale to zupełnie moja prywatna sprawa. Może teraz mnie z kolei wypadłoby napisać, że kol. Podgórski poszedł na zasłużony urlop, ale właściwie byłaby to informacja tylko dla późniejszych badaczy lubelskiego czasopiśmiennictwa...

Półroczne oderwanie się od pisma, które się redaguje, ma swoje dobre strony. Człowiek jakby odpręża się, nie musi szybko reagować na dzień powszedni, może pewne sprawy przemysleć, dokonać takich czy innych przewartościowań. Czasy, w których żyjemy, są burzliwe, ale nadziei jest więcej niż kiedykolwiek. Ludzkość ma przed sobą dwie perspektywy: albo pokojowe współistnienie, albo atomowa zagłada. Mówiło i pisało się o tym wielokrotnie, ale wszyscy i tak kulą ręce. Ostatnio, po spotkaniach przywódców ZSRR i USA, po podjęciu decyzji o likwidacji broni średniego zasięgu bardziej optymistycznie można patrzeć w przyszłość, zwłaszcza że i lokalne konflikty przysgają. Prawda, nagromadziło się wiele nieufności, przelana na frontach krew ciągle jeszcze nie zakrzepła, ale mimo to doszło np. do przerwania ognia między Iranem

a Irakiem, co osłabiło napięcie i w tej newralgicznej części naszego globu. Irma jest też dzisiaj sytuacja w Polsce po dwukrotnej w tym roku fali strajkowej. — Wybrałem z prasy krajowej różnych odcieni charakterystyczne wypowiedzi ludzi nauki, polityków, dziennikarzy, które wyżej przedstawiam. Byłbym rad, gdyby odezwali się czytelnicy i na kanwie tych głosów podzielili się ze mną własnymi uwagami. Musimy jak najwięcej ze sobą rozmawiać, przelamywać wzajemne nieufności, zapominając o dawnych urazach. Do poprawy klimatu z pewnością przyczyni się likwidacja tzw. białych plam, pod warunkiem jednak, abyśmy z kolei nie tworzyli nowych białych plam. Nie wolno też bezkrytycznie cenić przeszłości, nieując ją od podszewki, dozwolnym bowiem niejedno ma imię. Tyle na dzisiaj. M. A. Jaworski

„Pisząc ten temat głęboko się zastanawiam, czy w ogóle powinno dojść do pisania takiego tematu. Na pewno — nie. Władze, które stanęły na czele rządu i partii na początku lat siedemdziesiątych, powinny mieć w pamięci lata 1956, 68, 70. Lata te przypominały, że w Polsce ciągle są popełniane błędy. Z błędów tych powinny być wyciągnięte daleko idące wnioski. Jednak całkowicie o tym zapomniano” — tak rozpoczyna jeden z robotników poniatowskiej „Edy” swoją wypowiedź na temat „Drogi wyjścia z polskiego kryzysu”.

PONIATOWSKA „Eda” to zakład niepokorny. Podobnie jak inne, mniejsze i większe przedsiębiorstwa, z potknięciami próbuje się wpaść w niespójny, jak dotąd, krajobraz narodowej gospodarki w II etapie reformy. Zachwianie równowagi cenowo-dochodowej, ubożające nasycenie rynku, kłopoty produkcyjne i organizacyjne także i tutaj wywołały wiosną bieżącego roku zagrożenie strajkowe. Do przerwania produkcji jednak nie doszło. Czy świadomość społeczna pracowników „Edy” przemogła odruch emocji? W Poniatowej rozmawiali z nią sekretarzem KW PZPR, udało się rozwikłać najbardziej palące problemy na już, ale niepokój i troska o jutro pozostały.

W marcu bieżącego roku słuchacze dwuletniego kursu WUML przy poniatowskim przedsiębiorstwie otrzymali temat seminaryjnej pracy: „Drogi wyjścia z polskiego kryzysu”. Miał to być plan nie tylko cyklu prelekcji o najważniejszych problemach funkcjonowania państwa, ale także wielogodzinnych dyskusji z wykładawcami i wnikliwych przemyśleń w samotności. Materiał, który się objawił, stanowi przekaz interesujący. Wypowiedzi te pochodzą wprawdzie z marca 1988 roku, a jednak nie sposób nie dostrzec ich współbrzmienia z uchwałą VIII Plenum KC PZPR, które obradowało w sierpniu; z uchwałą Plenum, którego uczestnicy mądrzejsi przecież o doświadczenia majowo-sierpniowych perturbacji, jeszcze wyraźniej niż poniatowscy robotnicy odczuli rosnące niezadowolenie społeczne i rozczarowanie dotychczasowym tempem reformowania państwa.

Piszący seminaryjne eseje są w zasadzie zgodni co do przyczyni powstania obecnego kryzysu. Na ogół przyjmuje się tutaj za główny czynnik sprawczy błędy popełnione w polityce gospodarczej w latach siedemdziesiątych, kiedy to „strategia gospodarcza” była źle skoordynowana, zaś planiści stracili kontrolę nad inwestycjami, importem, wzrostem plac, transferem technologii i — prawdopodobnie — poziomem zadłużenia — jak ujął to syntetycznie Bogdan Góralczyk. Nie brak wszakże u respondentów i odwołań do okresów wcześniejszych, do nie wykorzystanej w pełni szansy, jaka objawiła się po Październiku, kiedy to zaistniały nader korzystne warunki dla podjęcia kompleksowych przemian struktur funkcjonowania, gospodarki i państwa. Owa tendencja gremiów decydenckich do zatrzymania w połowie drogi, do obaw przed rozwiązaniami radykalnymi znajduje krytyczne odniesienia także w wypowiedziach pracowników „Edy”. Niejednokrotnie odwołują się oni przy tym do wyników prac komisji Hieronima Kubiaka. Jeden z ankietowanych tak to ujmując: „Gomułka, Gierk i Jaruzelski dochodzili do władzy na fali niezadowolenia społecznego, powstałego głównie z warunków życia i zaczęli swe rządy od prowadzenia polityki doraźnej poprawy życia ludności; zestaw rozwiązań manewru gospodarczego poszczególnych ekip był zawsze prawie taki sam, zaś faktyczne przeprowadzanie zmian w gospodarce za każdym razem okazywało się niewykonalne”.

Zgodnie brzmi w analizowanym materiale przekonanie o pozytywnych skutkach przemian gospodarczych zainicjowanych w 1982 roku, po okresie chaosu i dezorganizacji początku lat 80. Oto stosowny w tej mierze głos: „Lata 80—81 były wielkim chaosem w gospodarce kraju i w polityce społecznej. Kres temu chaosowi postawiło wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Od tego okresu zaczęła się realizacja reform zarówno w życiu społecznym, jak i gospodarczym. Reforma zajęła trwałe miejsce w życiu społeczno-gospodarczym Polski. Nie ma innej metody na wyprowadzenie gospodarki na drogę rozwoju i na poprawę sytuacji materialnej ludzi pracy. Reforma zapoczątkowana została w niezwykle trudnych warunkach. Nastąpiły istotne zmiany w systemie gospodarowania. Stworzono warunki do samodzielności przedsiębiorstw, do rozwoju samorządności, reagowano na sygnały i potrzeby rynkowe” — a jednak — „mimo tych istotnych zmian stopień realizacji reform nikogo nie zadowalał i metoda ta nie przyniosła oczekiwanych rezultatów”.

W ten oto sposób dochodzimy do dzisiejszego potknięcia realizacyjnego II etapu reformy. Cytowany powyżej respondent tak usiłuje potknięcie to wytłumaczyć: „Nie ma w Polsce jednolitego programu wychodzenia gospodarki z kryzysu. Pierwszy etap reformy (choć w założeniach nie było mowy o etapowym reformowaniu gospodarki) nie wyszedł i nie ma pewności, że drugi etap wyjdzie tak, jak zakładano. Gdzie leżą przyczyny, trudności w realizacji założonych programów? Po pierwsze, w niekonsekwentnym egzekwowaniu przepisów, a także niestabilności i nieprecyzyjności tych przepisów, co powoduje, że przedsiębiorstwa w różny sposób je interpretują na swoją korzyść. Po drugie, inicjatywy społeczne są skutecznie blokowane przez rozbudowaną biurokrację na każdym szczeblu zarządzania. Po trzecie, brakuje jasnego programu oszczędnościowego, zarówno w sferze spożycia, produkcji, jak i w sferze inwestycyjnej”.

Biurokracja i niepełna samorządność to, zdaniem respondentów, główne hamulce na drodze przyspieszenia procesów reformatorskich. W tym względzie panuje wśród indagowanych całkowita zgodność. W

odniesieniu wszakże do postulatów konkretnych działań poszczególni respondenci różnią się znacznie. Generalnie obowiązuje jednak wołanie o „unormalnienie” gospodarki, „Unormalnienie” a więc wyeliminowanie tych paradoksów naszego życia ekonomicznego, które się w nim głęboko zakorzeniły. Nie można mówić o zadowoleniu społeczeństwa, dopóki samochód będzie dobrem nieosiągalnym teoretycznie nawet dla premiera, dopóki w miejskich środkach transportu podróżować będziemy jak bydło, dopóki dochód narodowy na jednego mieszkańca utrzymywany będzie na poziomie (czarnorynkowo!) 20 dolarów miesięcznie. Wołanie o równowagę, o „normalność” gospodarki jest wszechobecne. Drogi prowadzące do osiągnięcia tego stanu są częstokroć głęboko umotywowane.

„Równowagę rynku, zarówno konsumpcyjnego, jak i zaprzęgniętego oraz inwestycyjnego wiąże się z szerszym stosowaniem cen równowagi” —

Drogi wyjścia z kryzysu

Wiesław Horabik, Aleksander Olszewski

pięzo jedna z ankietowanych. — „Ceny nie mogą być mechanicznie powielonym zestawem kosztów wraz z zyskiem i marżami handlowymi, lecz parametrem zewnętrznym, dyktowanym sytuacją na rynku. Przedsiębiorstwo musi tak prowadzić działalność, by się w tych cenach zmieścić i osiągnąć zysk, gdyż w przeciwnym razie, kiedy koszty przewyższają ceny, konsekwencją będą straty prowadzące do bankructwa, jako że ustanie automatycznie wspieranie dotacjami słabeuszy”. I dalej: „Umacnianiu równowagi ma sprzyjać także rynkowa orientacja gospodarki, a więc rozszerzenie obszarów, gdzie — tak jak w przypadku warzyw i owoców — dominuje system cen umownych, uwolnionych od bezpośredniej ingerencji administracji. Podstawowym czynnikiem sterującym jest rynek, a ceny kształtują się na podstawie gry popytu i podaży”.

Problemy cen, co wydaje się rzeczą za wszechmiar zrozumiałą, zajmuje w koncepcjach dróg wychodzenia z kryzysu szczególne miejsce. Zwolenników „gry rynkowej” jest wielu, aczkolwiek opcja ta przyjmowana jest na ogół w pełnej świadomości zagrożeń, jakie jej realizacja mogłaby wywołać.

„Urynkowanie nowych dziedzin produkcji, w pierwszym okresie może wywołać znaczne i zróżnicowane ruchy cen, jak i perturbacje w produkcji, wskutek m. in. wypadania producentów najdroższych, nie mieszczących się w cenach równowagi”.

Jako drugi blok spraw, odpowiadający za obecne trudności gospodarcze, jawi się pracownikom „Edy” tzw. polityka antyagrarna, czyli zaniedbania w sferze rolnictwa i produkcji żywnościowej. „Dalsza sprawa — rolnictwo — pisze jeden z ankietowanych. — Dalej robi się wszystko, aby tej żywności było mniej. Chłop odstawi gorsze mleko — mniej otrzymuje, zakład puści wadliwy traktor — przeważnie na tym nie straci”. „Rząd powinien zmienić politykę rolną. Rolnictwo wymaga małych nakładów, aby dać duże zyski. Uważam, że konieczna jest komasacja gruntów, likwidacja małych gospodarstw nierentownych, oraz pomoc finansowa gospodarstwom o dużych arealach ziemi”. „Zasadnicze znaczenie miały zaniedbania w latach 70. w produkcji rolnej. Nastąpiło wówczas zerwanie więzi między miastem a wsią, a ściślej — między przemysłem a rolnictwem (w II połowie lat 70. Polska stała się importem netto produktów rolnych)”. Opinie te współbrzmia z jedną z preferencji zakładanych dla Polski przez Bank Światowy.

W wypowiedziach ankietowanych stosunkowo mało miejsca poświęca się zagadnieniom „nowego myślenia”, problemowi zmian w świadomości społecznej, co, jak stwierdziło Biuro Polityczne KC PZPR, jest istotnym czynnikiem blokującym skuteczne wdrażanie reformy. Nie wysuwają również ankietowani szczególnych postulatów dotyczących demokratyzacji życia politycznego. W tym względzie wyniki tej swoistej sondy odzwierciedlają nastroje przed referendum i należy chyba przyznać rację wielu publicystom, iż w odczuciu powszechnym postępowanie w liberalizacji życia znacznie wyprzedza postępowanie w reformowaniu gospodarki. W analizowanym materiale zdecydowanie dominują sprawy ekonomiczne. Podkreśla to również cytaty wyjęty z jednej z prac: „Państwo jest spokojne, gdy zasobni są jego obywatele”.

Warto przytoczyć teraz kilka recept na uzdrowienie polskiej gospodarki przedstawionych w sposób nie wymagający żadnych analitycznych zabiegów. „Uważam, że przedsiębiorstwa powinny dążyć do maksymalizacji zysków poprzez efektywność gospodarowania, zmiany asortymentu produkcji na wyroby mniej materiałno- i energochłonne i lepsze jakościowo. Większe pieniądze pozostawione

w przedsiębiorstwach powinny być przeznaczone na postęp techniczny, co umożliwi eksport, bądź jego zwiększenie. Zaniechanie dotacji dla przedsiębiorstw oraz zatrzymanie balaganu placowego. Większe powiązanie jakości pracy z płacami. Przedsiębiorczość, fachowość powinny być wyżej wliczane przy funkcji płacy”. „Istota zmian strukturalnych sprowadza się do wycofania się z wielu rozpoczętych inwestycji i robót i przerwania środków tam, gdzie można szybko osiągnąć lepsze efekty. Przedstawione wyżej działania i rozwiązania muszą iść w parze z dalszym urealnieniem parametrów ekonomicznych, tzn. kursów dewiz, cen, stopy procentowej i polityki banków, opłat i podatków”. „Istota radykalizacji reformy wykracza poza sprawy czysto ekonomiczne, poza problemy wzrostu produkcji i materialnego poziomu życia. Chodzi o rzeczywiste upodmiotowienie ludzi, o to, by mogli oni sami, swą pracą, wysiłkiem, talentem decydować o swojej przyszłości i o rozwoju swego przedsiębiorstwa, regionu, a w konsekwencji całego kraju. Chodzi o to, czy — jak to powiedział na V Plenum KC tow. Wojciech Jaruzelski — Polacy potrafią wybrać się ostatecznie i nieodwracalnie na racjonalność, efektywność, nowoczesność”. „Atestacja jakoś upadła. W dziedzinach, gdzie istnieją rezerwy, dalszym ludziom większe decyzje w sprawach finansowych. Kiedyś sekretarz partii był częstym gościem na wydziałach produkcyjnych — teraz mniej. Ma to też znaczenie dla psychiki ludzi”. „O sukcesie tego programu realizacji II etapu reformy można będzie mówić wówczas, gdy prace ekonomiczne zapanują nad płytko rozumianymi względami społecznymi, a wytwórcy w pełni zaakceptują filozofię trudnych do spełnienia wymagań pracy, w zamian za godziwe wynagrodzenie”. „Chodzi o zahamowanie procesu starzenia, modernizację majątku produkcyjnego, silniejsze wkomponowanie Polski w międzynarodowy podział pracy, wykorzystanie walorów socjalistycznej integracji gospodarczej, specjalizacji i kooperacji, opracowanie i wdrożenie ekonomicznego programu efektywności i tworzenia warunków do wyzwalania inicjatywy. Koniecznością stało się oparcie gospodarki na trzech podstawowych zasadach: 1. ograniczonej roli planowania centralnego, 2. rozwoju samorządności i samodzielności przedsiębiorstw, 3. zwiększeniu roli czynnika ekonomicznego nad ideologicznym w kierowaniu gospodarką”. „Głównym zadaniem w II etapie reformy gospodarczej powinno być przywrócenie równowagi pieniężno-rynkowej i to nie tylko poprzez wzrost cen, lecz także takie działania, aby wzrosła podaż rynkowa artykułów i usług. Powinny służyć temu zwiększenie i wprowadzenie zachęt do powiększania zysków, a co za tym idzie i towarów na rynku, poprzez wprowadzanie postępu technicznego, obniżkę kosztów wytwarzania oraz tworzenie bodźców, przy których najsłabsi bankrutują. Zamierzenia te powinno się osiągnąć, kiedy powstanie rynek nabywcy w miejsce istniejącego obecnie rynku producenta”. I jeszcze: „W najbliższych latach powinna być realizowana taka polityka, która zapewni najwyższą społeczną efektywność każdej wydatkowanej złotówki. Zadania i cele postawione w reformie gospodarczej muszą być bezwzględnie realizowane (do chwili obecnej nie są) np. samofinansowanie, wiele nieefektywnych przedsiębiorstw nadal otrzymuje dotacje, banki nadal zmusza się do udzielania kredytów zarówno inwestycyjnych, jak i obrotowych, co nie powinno mieć obecnie miejsca. Należy także złagodzić przepisy o opodatkowaniu przedsiębiorstw. Aby nie umniejszyć dochodów sfery budżetowej proponuję wprowadzenie w niektórych działach finansowych z budżetu, odpłatności (np. służba zdrowia, oświata)”.

Uchwała VIII Plenum KC PZPR mówi między innymi, o konieczności „1. zlikwidowania pośrednich ogniw w organizacji zarządzania, które nie znajdują uzasadnienia w warunkach reformy gospodarczej, 2. radykalnego przyspieszenia procesów likwidacji i upadłości jednostek trwale ekonomicznie nieefektywnych, 3. wprowadzenie zasady osobistej odpowiedzialności kadr kierowniczych administracji państwowej, centralnej i terenowej, za utrudnianie i hamowanie, a także za brak dostatecznej aktywności w praktycznej realizacji reformy na danym odcinku”. Uchwała uważa także za konieczne dalsze umacnianie samorządu pracowniczego, ograniczanie i eliminowanie biurokracji i bezdusznego stosunku do ludzi i ich spraw.

Być może, iż część przytoczonych powyżej wypowiedzi pracowników poniatowskiej „Edy” nasunęła podejrzenie o powielanie opinii obiegowych. Faktem bezspornym wszakże jest, iż nawet w takich przypadkach uderzają one szczególnie mocno w odczucia piszących. Stąd wnioski o pełnym współbrzmieniu uchwał VIII Plenum z odczuciami społeczeństwa nie pozostanie chyba wnioskiem bez pokrycia.

Szok węglowy

Dokończenie ze str. 1

jeni w długie miotły i kubły. Po godzinie uliczki były znowu czyste i można było wyjść na przedwieczorny spacer.

Takiej Łęcznej już nie ma, chociaż jeszcze na początku lat siedemdziesiątych było tutaj podobnie. Stare domy w lepszym stanie niż dzisiaj, mniej asfaltu a więcej „kocich łbów”, dużo mniej samochodów, za to sporo chłopskich furmanek. Trzytysięczne miasteczko żyło leniwie i niespiesznie od targu do targu i od niedzieli do niedzieli. Choć czasy zmieniły się, dalej pełniło swoją tradycyjną rolę usługiwania miejscowemu rolnictwu. Czy ludziom żyło się wtedy źle i tęsknili do lepszego świata? Nie sądzę. Kto jest energiczny, ciekawy i pragnie poprawiać świat, zawsze opuszcza miejsce swojego urodzenia, czy to jest Pcim, Łęczna, Lublin, Warszawa czy nawet Paryż. Kto jest mniej rutki, zostaje na miejscu i ulepsza własne obejście, buduje nowy dom i sadzi drzewo. Tak było i tutaj i tę niepowtarzalną atmosferę starej Łęcznej odnajdźmy jeszcze dzisiaj. Zatrzymajmy się przez chwilę na starym bruku i przyjrzyjmy powieki...

Zupełnie inaczej wygląda Łęczna, gdy nadjeżdża się od niej od strony Puchaczowa, czyli Lubelskiego Zagłębia Węglowego. W pogodny dzień rysuje się z daleka panorama wielkiej metropolii: ogromne, dziesięcioletnie punktowce i leżące, długie pudełka bloków. Przypomina to, choć w mniejszej skali, zabudowę lubelskiego Czechowa. Słowem miasto, jakich w Polsce setki: standardowe, smutne, brzydkie, nijakie i już od pierwszej chwili swojego istnienia pokryte patyną zaniedbania. Jak w całej Polsce — jeszcze nowe, ale już jakieś wykoślawione, zużyte, zniszczone, odrapane i niechlujne, jakby nie miało właściciela. Naczelnik miasta i gminy Henryk Smiech opowiada o problemach Łęcznej i dochodzi do wniosku, że w Polsce nie ma chyba nikogo, kto wie, jak trzeba budować miasto. Jest to na pewno prawda. Nowa dzielnica Łęcznej jest bowiem zupełnie nowym miastem, wybudowanym obok miasta starego. Posiada własny układ przestrzenny i komunikacyjny oraz własną sieć usługową i ktoś, kto tutaj mieszka, może przez całe lata nie zaglądać do starej Łęcznej. Toteż stara Łęczna robi zrazu wrażenie starego wrzodu na zdrowym ciele nowego organizmu. Jest czymś doczepionym, co toleruje się niechętnie i z konieczności, ale co wcześniej czy później odpadnie samo, bo przecież zdrowy organizm pozbędzie się w końcu strupów. Powiadam: tak to wygląda i patrząc z pewnego oddalenia widzi się, że Łęczna składa się w istocie z dwóch odrębnych miast, z których jedno skazano na powolną, acz nieuchronną śmierć.

Kiedy się to widzi na własne oczy, słowa naczelnika nabierają właściwej treści. Odnosi się wrażenie, że budowniczości nowego miasta dla górników porzucili starą Łęczną, zostawiając ją samej sobie. Nowe miasto ma gaz, ciepłą wodę i kanalizację. Stara część miasta nie dostała nic z tych luksusów końca XX wieku. Coś podobnego widziałem dziesięć lat temu w Koninie, koło którego także powstawało zagłębie węglowe, tyle że chodziło tam o inny węgiel, mianowicie brunatny. Ale choć węgiel inny, myślenie takie samo. Butne przeświadczenie, że niepotrzebne nam stare miasto i nie musimy liczyć się z jego mieszkańcami. Ze co stare, to nadaje się tylko na śmietnik, a wartościowe jest tylko nowe, choćby to nowe wyglądało od razu jak stare. Ten przejaw chorobliwego myślenia stał się dla mnie „normalny”, gdy zrozumiałem, że wynika z równie chorobliwej koncepcji cywilizacyjnej. Logika jest w tej mierze przerażająco oczywista: chory organizm nie pocznie zdrowego, co najwyżej potworka, i takim potworkiem urbanistyczno-cywilizacyjno-kulturowym jest właśnie Łęczna w swoich administracyjnych granicach.

A przecież kiedy piętnaście lat temu pisano, że „Lubelszczyzna otrzymała dziejową szansę” i że „zmeni się jakość życia jej mieszkańców” wszyscy zapewniali, że będzie lepiej, czystiej i w ogóle inaczej niż na Śląsku. A przede wszystkim — że nie powtórzy się starych błędów, które sprawiają, iż życie staje się uciążliwe, a po jakimś czasie po prostu nieznośne. Pamiętajmy jednak, że piętnaście lat temu była w Polsce inna epoka. Można się było kąpać w rzekach, jeziorach i Zatoce Gdańskiej. W Sudetach nie usychały lasy. Katowickie, choć zanieczyszczone do granic możliwości, nie było jeszcze rejonem klęski ekologicznej, komunikacyjnej, mieszka-

„Tu jedynka” ironizować, jak to sprytni kapitaliści zarabiają nawet na... gównie.

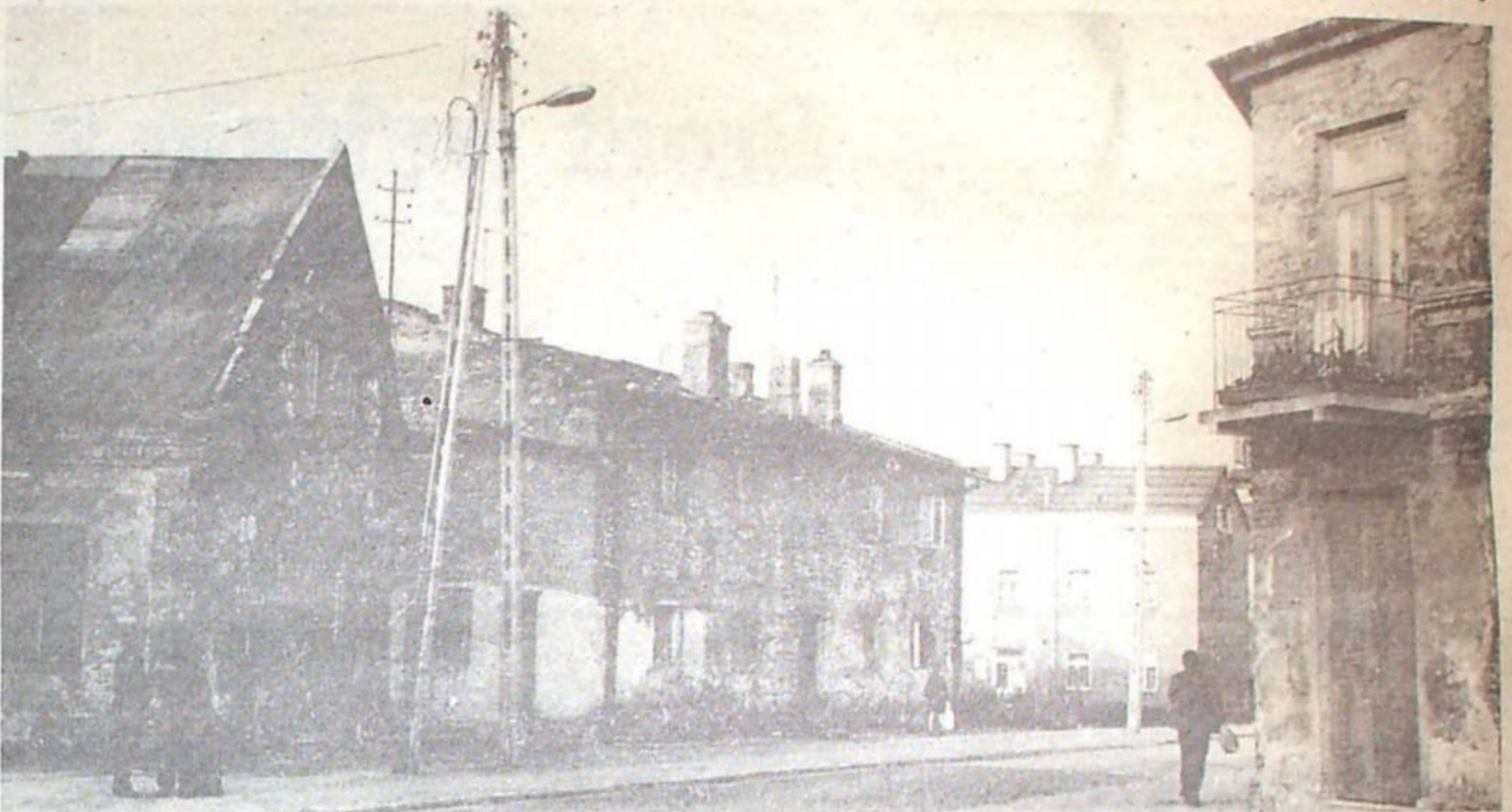
Jedyny Aleksander Paszyński przestrzegł przed powtórzeniem w LZW starych błędów i w „Polityce” (25 stycznia 1975) zachęcał do myślenia. I trzeba uczciwie przyznać, że myślenie takie było. Było ono nawet bardzo poprawne, ale tylko dopóty, dopóki nie zaczęto budować kopalni. Od tego momentu wszystko potoczyło się jak to po wojnie u nas bywało: byle prędzej i byle jak. I tak zostało do dzisiaj. Ale zacznijmy od początku.

Według pierwotnych założeń Lubelskie Zagłębie Węglowe miało w roku 1985 dostarczyć 6,3 miliona ton węgla z dwóch kopalni. W roku 1990 — pięć kopalni dać miało 16,2 miliona ton, zaś od roku 1995 roczne wydobycie z siedmiu kopalni wynosić miało 25 milionów ton węgla. Dwie były podstawy tego planu. Pierwsza miała swoje źródło w ówczesnej (a praktycznie nie zmienionej do dzisiaj) filozofii rozwoju gos-

oceniono grubość pokładów, warunki górniczo-geologiczne i hydrogeologiczne. Węgla okazało się więc mniej niż zakładano, jego wydobycie stało się trudniejsze i o wiele droższe, zaś wartość dużo gorsza niż się spodziewano. Powoduje to konieczność zbudowania kosztownych instalacji wzbogacania węgla i miału. Wynika stąd także, iż więcej niż zakładano będzie odpadów, a więc zwiększy się zagrożenie ekologiczne.

Przekonanie, że węgla w Polsce zawsze będzie pod dostatkiem, doprowadziło do kilku poważnych niespodzianek, a przede wszystkim niemożności zatrzymania tego błędnego koła, które musi się kręcić coraz szybciej. Czy muśi? Tak, albowiem światowe i krajowe badania wykazują, że im więcej inwestuje się w przemysł surowcowy, tym potrzeba inwestowania stale i systematycznie rośnie, ponieważ następuje tzw. kumulacja barier.

Najpierw — energia. Jeszcze w roku 1978 wydobycie jednej tony węgla wy-



Fot. Jacek Mirosław

niowej. Przekonania, że przemysł, wielki i brudny przemysł, przynosi same dobrodziejstwa, nie zweryfikowały jeszcze katastrofy, które przyszły dopiero później. Toteż naiwny optymizm karmił się niewiedzą i przekonaniem, że my, w socjalizmie, automatycznie i samo przez się wolni jesteśmy od ułomności i błędów kapitalizmu. Pamiętam doskonale, jak wymiewano się u nas z partii „zielonych”, a fakt, że w Europie zachodniej zaczęto akurat inwestować w spalarnie śmieci i przemysłowe wytwórnie biogazu skłonił pewnego prominentnego dziennikarza, aby w słynnej audycji

podarczego. Polegało to na tym, że najpierw planowano wzrost produkcji, a dopiero do tej wielkości „dopasowywano” podaż energii, zakładając, że energii tej dostarczy się w każdym przypadku tyle, ile potrzeba. Nieograniczone (tak się wydawało) zasoby węgla i możliwość dowolnego dysponowania środkami inwestycyjnymi zwalniały od konieczności dokładnego rachowania zasobów mineralnych i finansowych. Drugim powodem tych hurraoptymistycznych założeń były ówczesne diagnozy geologiczne: zasoby węgla zawyżono, zawyżono także jego wartość energetyczną. Falszywie

magalo energii jaką daje 238 kg węgla. W roku 1985 trzeba już było dostarczyć energii ze spalania 288 kg węgla. „Węglochłonność” wydobycia węgla wzrosła więc w ciągu siedmiu lat o 50 kilogramów na tonie. W skali kraju daje to blisko 55 milionów ton węgla i o tę liczbę należałoby umniejszyć rzeczywiste wydobycie węgla w kraju. Niepokojące jest przy tym, że autokonsumpcja węgla przez węgiel rośnie, chociaż wydobycie utrzymuje się od roku 1978 na niezmienionym poziomie. Ten roczny wzrost wynosi 2,7 procent, a więc tyle, ile roczne wydobycie wielkiej kopalni. Nic nie wskazuje na to, aby ten wzrost miał być w przewidywalnej przyszłości zahamowany.



Fot. Jacek Mirosław

Po drugie — stal. Górnictwo paliw zużywa 1/3 stali w Polsce. Konsumuje ponadto znaczny procent krajowej produkcji przemysłu elektromaszynowego, chemicznego, mineralnego, drzewno-papierniczego, wreszcie lekkiego. Jak pisze Aleksander Szpilewicz w „Życiu Gospodarczym” (nr 48 z roku 1987) „odnosi się to szczególnie do środków transportu, maszyn budowlanych i drogowych, farb i lakierów, tworzyw sztucznych, materiałów budowlanych, cementu i szkła, kopalniaków i tarcicy oraz tkanin technicznych”. Zużycie to rośnie w tempie 4,5 procenta rocznie. Szacuje się, że w roku 1995 przemysł wydobywczy pochłonie blisko 6 milionów ton stali, a energii tyle, ile dawać będzie budowana obecnie elektrownia jądrowa. Mówiąc bardziej obrazowo, elektrownię w Żarnowcu budujemy po to, aby utrzymać w ruchu istniejące kopalnie węgla.

Być może jednak, węgiel jest tak opłacalnym interesem, że warto go wydobywać za wszelką cenę? Otóż koszt wydobycia jednej tony węgla wynosił w kraju średnio 40,2 dolara USA (w Bogdanie: 109,6 dol.). Wiosną tego roku płacono na rynkach światowych za tonę węgla 44,2 dolara. A zatem czysty zysk z eksportu tony węgla wynosi w Polsce 4 dolary. Ostatnio światowe ceny węgla nieco wzrosły, niemniej w krajach, gdzie pieniądze liczy

się naprawdę, kopalnie ciągle się zamęka, a węgiel sprowadza. Wydobycie węgla maleje od lat systematycznie w Wielkiej Brytanii, RFN, Belgii, Francji i Japonii.

Obok „węglonośności” wydobycia węgla naszą gospodarkę cechuje inne niepokojące zjawisko: rosnąca energochłonność, która w przeliczeniu na jednostkę dochodu narodowego jest dzisiaj o 1/4 wyższa niż w roku 1978, a trzy razy wyższa niż w Europie zachodniej.

Sumując: sięganie przez górnictwo do coraz uboższych złóż i coraz trudniej dostępnych pokładów będzie powodować, że zużycie stali, energii, środków transportu i innych materiałów i surowców będzie stale rosło mimo utrzymania się wydobycia węgla na tym samym poziomie. Znacząco, że coraz większy odsetek swojej produkcji przemysł będzie przeznaczal na utrzymanie tej produkcji w ruchu, a więc coraz mniej będzie dostarczał na rynek wewnętrzny i zagraniczny. To też im więcej inwestujemy dzisiaj w węgiel, tym szybciej przybliżamy katastrofę energetyczną. Im więcej inwestujemy w przemysł ciężki (dzisiaj prawie 3/4 inwestycji) — tym szybciej zbliżamy się do całkowitej zapasności gospodarczej. Polski przemysł ciężki pozbiera sam siebie, dlatego nie ma z czego budować domów, nie ma czym i z czego budować praek, lodówek, samochodów, dróg, mostów, wagonów pasażerskich itd., itp. Z tego też m.in. powodu od czterdziestu paru lat brakuje w Polsce papieru na cele wydawnicze.

Jakże to ma jednak związek z Łęczną i zachowaniem jej starej substancji architektonicznej i przestrzennej? Ma, ponieważ Łęczna nie jest izolowaną wyspą, ale częścią naszego kraju. Do roku 1939 Polska rozwijała się zgodnie z rytmem cywilizacji europejskiej. Polskie samochody, pociągi, samoloty, a także fabryki nie ustępowały temu, co konstruowano w Niemczech i Francji. Nierzadko nawet przewyższały, toteż nie było między nami a Zachodem przepaści cywilizacyjnej, a jedynie była to różnica ilościowa. Dzisiaj Polskę od Zachodu dzieli poważna przepaść technologiczna, cywilizacyjna i jakościowa. Mamy nie tylko wszystkiego mniej, ale mamy to na dodatek gorszej jakości, a pewnych rzeczy nie umiemy w ogóle wytworzyć. Ta przepaść nie maleje, lecz powiększa się z roku na rok, ponieważ przyjęto u nas inną koncepcję rozwoju gospodarczego niż gdzie indziej.

Możliwość rozwoju ekstensywnego wyczerpano w Polsce 20 lat temu. Kredyty uzyskane przez ekipę Gierka pozwoliły na przesunięcie w czasie depresji gospodarczej, która zbliża się teraz do niebezpiecznej granicy. Dlatego nie tylko stara Łęczna się rozsypuje. Rozsypuje się Kraków, Lublin, Toruń, Przemysł i wiele, wiele innych miast, ponieważ normalną ekonomikę zastępujemy od czterdziestu paru lat doktryną. Gdyby bowiem Polska rozwijała się tak jak kraje Zachodu, czyli normalnie, albo zużywalibyśmy dzisiaj trzy razy mniej węgla, albo produkowalibyśmy trzy razy więcej wyrobów przemysłowych i żywności. No, powiedzmy dwa razy, ponieważ zawsze byliśmy jednak nieco z tyłu. Ale w porównaniu z tym, co mamy obecnie, byłby to wynik znakomity. Od dziesięciu lat tymczasem im więcej wydobywamy węgla, tym mniej go mamy. Ceną tej filozofii rozwoju jest obecny stan kraju: brak wszystkiego i katastrofa ekologiczna na znacznych połaciach kraju.

Łęczna była kiedyś może i małym, biednym miasteczkiem, ale 50 lat temu nie żyło się tam o wiele gorzej niż w podobnym miasteczku w Finlandii, Norwegii czy Włoszech. Przez te 50 lat cały świat zrobił ogromny krok naprzód. Uczyniła go też — w pewnym sensie — Polska, ale stara Łęczna, miast na tym zyskać, obraca się w ruinę, bo także dotąd rządziły w naszym kraju mechanizmy ekonomiczne.

Pytaniem, co ma Łęczna i Lubelszczyzna z tutejszego węgla będąc się zajmował w kilku następnych raportach i artykułach. Jeżeli ktoś z czytelników chciałby podzielić się ze mną swoimi spostrzeżeniami, proszę o list.

Andrzej W. Pawluczuk

Pod czterema skrzydłami

Tadeusz Chwałczyk

NIE wiem, kto wizerunek polskiego orła lotniczego uzupełnił dodatkową parą skrzydeł. W historii wielu państw, które za symbol obrały sobie tego królewskiego ptaka, były już różne orły. Jedno- i dwugłowe, w koronie i bez, wsparte na tarczy amazońskiej lub pozbawione jej, ze skrzydłami uniesionymi czy opuszczonymi, ale żaden z nich nie miał nigdy czterech skrzydeł! Jest więc taki jeden tylko, właśnie polski orzeł lotniczy, ozdobiony dodatkową parą skrzydeł — husarskich.

Orzeł w swym kształcie niewątpliwie piękny, a tym dodatkowym elementem nawiązujący do tradycji słynnej jazdy polskiej. Pół wieku z górą minęło od dnia, kiedy wraz z wprowadzeniem w polskim lotnictwie stalowoszarých mundurów, odmiennego niż w całej armii kroju, pojawił się także orzeł ze skrzydłami husarskimi.

„Husaria XX wieku” — jak może nieco pompatycznie przyjęło się określać polskie lotnictwo wojskowe w latach międzywojennych — nie mogła jednak w pełni sprostać postawionemu jej zadaniu obrony polskiego nieba we wrześniu 1939 roku. Można przyjąć, że w starciach jazdy konie po obu walczących stronach miały taką samą kondycję, a o powodzeniu w bitwie decydowała w znacznej mierze odwaga, fantazja i stopień wyćwiczenia jeźdźców. W lotnictwie natomiast, jako broni technicznej, sprawność samolotu nabierała stopniowo cech dominujących nad przygotowaniem pilota. I to właśnie miało decydujący wpływ na przebieg zmagañ wrześniowych, bo pilotów mieliśmy bardzo dobrych.

Takie rozważania usłyszałem w Dęblinie podczas niedawnego zlotu wychowanków słynnej „Szkoły Orłąt”. Spotkali się absolwenci wszystkich oficerskich promocji, jakie w ciągu sześćdziesięciu lat przeprowadzono w Dęblinie.

Z Grudziądza do Dęblina

Zachował się rozkaz szefa Sztabu Generalnego WP nr 66 z 20 grudnia 1918 roku, który uznał wypada za swego rodzaju metrykę narodzin polskiego wojskowego szkolnictwa lotniczego. Stwierdzał on m.in.:

„Wojskowa Szkoła Lotnicza w Warszawie składała się ze szkoły wojskowych pilotów lotniczych, szkoły wojskowych mechaników lotniczych i kursów oficerskich. Zadaniem Szkoły jest wyszkolenie pilotów wojskowych, wojskowych mechaników lotnictwa i oficerów wojsk lotniczych...”

Rozwój wydarzeń wojennych na wschodzie, organizacja nowych eskad bojowych dla potrzeb frontu spowodowały, że w połowie 1919 roku zawieszono okresowo działalność szkoły warszawskiej. Równocześnie powstały inne szkoły lotnicze, m.in. w Krakowie i Poznaniu oraz szkoła tzw. „francuska”, grupująca kadre przybyłej z Francji Armii gen. Hallera.

Rok 1920 przyniósł kolejną reorganizację wojskowego szkolnictwa lotniczego. Skoncentrowano je w Bydgoszczy, gdzie szkolono pilotów, a po sąsiedztwu w Toruniu powstała Szkoła Obserwatorów Lotniczych, natomiast w Warszawie i Poznaniu — Szkoły Obsługi Lotniczej.

W latach 1921—25 wprowadzono nieznaczną modyfikację profilu szkolenia, przenosząc jednocześnie z Poznania do Grudziądza Wyższą Szkołę Pilotów. Kandydatami do wszystkich tych szkół byli wyłącznie oficerowie i podoficerowie wojsk lądowych, głównie kawalerzyści. Coś więc z tą „husarią” lotnictwo wspólne miało.

Ale system takiego szkolenia, nie przewidujący rekrutacji młodzieży cywilnej, nie mógł być oczywiście utrzymany dłużej. W 1925 roku ówczesny szef Departamentu Lotniczego, gen. Włodzimierz Zagórski, dokonał więc radykalnych zmian, które z niewielkimi tylko korektami przetrwały do wybuchu wojny.

Grudziądz stał się siedzibą Oficerskiej Szkoły Lotniczej, do której na dwa lata trafiali absolwenci rocznego kursu unitarnego Oficerskich Szkół Piechoty z Warszawy i Ostrowi Mazowieckiej. W Grudziądzu także znajdowała się też Lotnicza Szkoła Strzelania i Bombardowania. W Bydgoszczy natomiast utworzono Szkołę Podoficerów Lotnictwa dla Maloletnich, kształcąca mechaników lotniczych, radiomechaników i fotografów, oraz Techniczną Szkołę Podchorążych Lotnictwa.

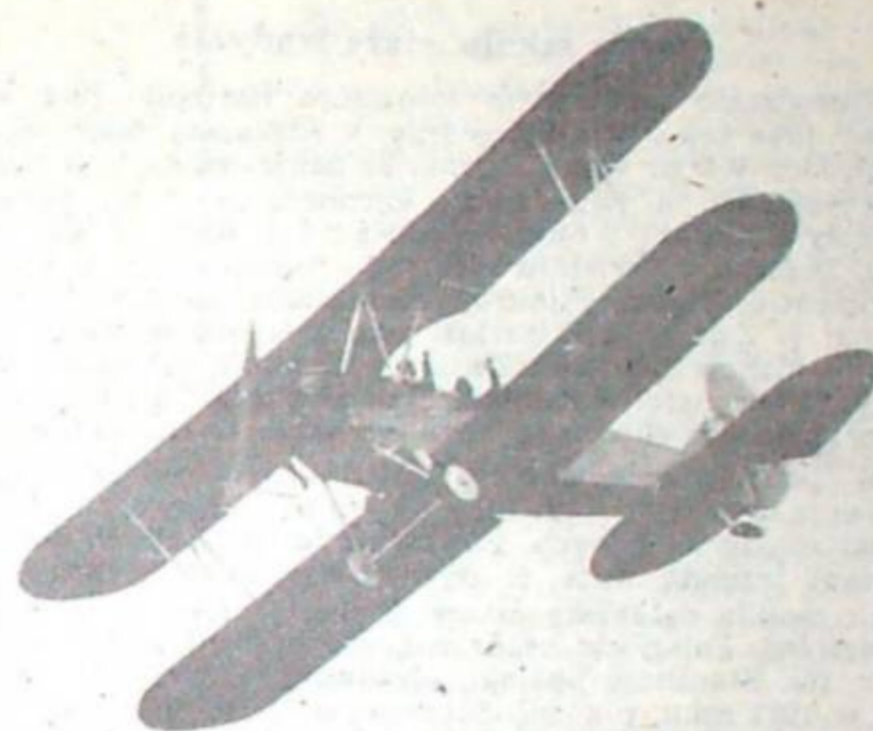
W „gnieździe orłąt”

Związki Dębina z lotnictwem sięgają 1927 roku. Potwierdza to data na zabytkowej bramie wjazdowej do pałacu Jabłonowskich, który do dziś stanowi fragment bardzo już rozbudowanej Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej.

Wśród 170 podchorążych, którzy w 1927 roku „przebazowali” z Grudziądza do Dębina, był także — obecny na sierpniowym zlocie — ppłk. pil. w st. spocz. Jan Hryniewicz.

— W 1925 roku — wspomina — zostałem słuchaczem Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Grudziądzu. Tam po raz pierwszy wzbiłem się w powietrze na zdezelowanym samolocie francuskim „Morane-Saulnier MS-35”. Do Dębina przyjechałem z kolegami właściwie tylko na promocję, gdyż przeszkolenie w pilotażu ukończyliśmy jeszcze w Grudziądzu. Odbyla się ona 15 sierpnia 1928 roku, a prymusem został ppor. obs. Bronisław Bogucki.

Pierwszy prymus dęblińskiej promocji wywodził się z powiatu strzyżowskiego, szkołę średnią ukończył w Krakowie, a następnie, w listopadzie 1918 roku, wstąpił ochotniczo do wojska. Otrzymał przydział do 4 pułku



Historia i...



...współczesność

piechoty legionowej, w którym służył do końca wojny. Podobnie jak Hryniewicz, naukę w Oficerskiej Szkole Lotniczej rozpoczął w 1925 roku w Grudziądzu. Jako prymus otrzymał na promocji upominek od prezydenta Rzeczypospolitej oraz złotą odznakę obserwatora. Nie latał jednak długo. Dokładnie w rok i dwa dni po dęblińskiej promocji, już pełniąc służbę w 3 Pułku Lotniczym w Poznaniu, zginął w locie pod Chodzieżą. Pochowano go na cmentarzu wojskowym w Krakowie.

Wracając do pułkownika Hryniewicza, warto w jego 86-letnim życiu wspomnieć dwa epizody. Pierwszy związany z wydarzeniami wrześniowymi, kiedy to podczas bombardowania Dębina ciężko ranny został komendant szkoły, znany pilot challenge'owy — ppłk. Jerzy Bajan. Hryniewicz, sam ryzykując życiem, przetransportował wówczas samolotem rannego komendanta do szpitala w Warszawie.

Drugi epizod związany jest z próbą przywiezienia po wojnie do kraju sztandaru Polskich Sił Powietrznych na

Dokończenie na str. 6

Pod czterema skrzydłami

Dokończenie ze str. 5

Zachodzie. Został on przy osobistym zaangażowaniu Jana Hryniewicza wyhaftowany w okupowanym kraju, a następnie przetrzebiony do Anglii. Od czerwca 1940 roku znajdował się tam także sam inicjator całego przedsięwzięcia, który był pilotem jednego z polskich dywizjonów.

Hryniewicz do Polski powrócił w 1947 roku, ale wkrótce ponownie wyjechał do Anglii, właśnie po... szandar, którego jednak próba wykradzenia(!) nie powiodła się. Hryniewicz został aresztowany. Jakimś cudem wymknął się na wolność i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Do Polski, już na stałe, wrócił po różnych przygodach dopiero w 1959 roku i zamieszkał w Dęblinie.

Niejedni zapewne z wychowanków „Szkoły Orłąt” ma w swym „zyciorysie” podobne przeżycia, zwłaszcza ci z promocji przedwojennych, którzy potem walczyli na różnych frontach II wojny światowej. Trzeba jednak przypomnieć, że do 1934 roku kształcono w Dęblinie wyłącznie obserwatorów lotniczych. Dopiero po odbyciu służby w pułkach lotniczych mogli oni ubiegać się o skierowanie na kurs pilotażu. Zmianę przyniósł rok 1936, kiedy to dęblińska szkoła przekształcono w Centrum Wyszkolenia Lotnictwa nr 1. W ramach Centrum funkcjonowały: Szkoła Podchorążych Lotnictwa z trzyletnim cyklem szkolenia bojowego pilotów oraz Szkoła Podchorążych Rezerwy Lotnictwa z siedzibą w Radomiu-Sadkowie.

Nowa szkoła, stare tradycje

Odrodzenie szkolnictwa lotniczego nastąpiło pod koniec 1944 roku, kiedy zgodnie z rozkazem Naczelnego Dowódcy WP nr 9/Org., z dnia 31 października 1944 roku, zdecydowano o powołaniu Zjednoczonej Wojskowej Szkoły Lotnictwa nr 1. W ramach Centrum funkcjonowały: Szkoła Podchorążych Lotnictwa z trzyletnim cyklem szkolenia bojowego pilotów oraz Szkoła Podchorążych Rezerwy Lotnictwa z siedzibą w Radomiu-Sadkowie.

W początkowym okresie instruktorami pilotażu byli głównie oficerowie radzieccy i nieliczni absolwenci szkoły z lat międzywojennych. Powracali też z Zachodu piloci, swiani legendą walk w dywizjonach RAF-u. Wielu z nich zasiliło dęblińską szkołę. Potem jednak nastął czas podejrzeń. Falszywie oskarżeni, aresztowani zostali m.in. mjr. pil. Stanisław Skalski, absolwent pierwszej promocji w 1928 roku, plk. pil. Szczepan Scibior, w latach 1947-51 komendant Oficerskiej Szkoły Lotniczej i wielu innych. Mjr. Skalski, mimo wyroku śmierci, doczekał października 1956 roku, plk. Scibior — nie. Zrehabilitowano go dopiero pośmiertnie.

Poczynając od połowy lat pięćdziesiątych, dokonywała się modernizacja całych sił zbrojnych, a w tym także lotnictwa. Pod koniec 1955 roku w Dęblinie przystąpiono do szkolenia podchorążych w pilotażu samolotów o napędzie odrzutowym. Wśród pierwszych instruktorów był obecny dowódca Wojsk Lotniczych gen. Tytus Krawczyk, wówczas w stopniu kapitana pilota. I był to pierwszy punkt zwrotny w powojennej „Szkołe Orłąt”. Drugi na-

stąpił w styczniu 1968 roku, kiedy szkoła uzyskała status wyższej uczelni wojskowej. Jej komendantem był wówczas gen. bryg. pil. Józef Kowalski, który najdłużej spośród wszystkich komendantów, bo przez 18 lat, kierował szkołą. On też w znacznej mierze przyczynił się do jej rozbudowy.



Gen. bryg. pilot doc. dr hab. Józef Kowalski, komendant w latach 1963-81.

Nie kryli swego zdumienia dawni wychowankowie „Szkoły Orłąt”, zwłaszcza ci, którzy po latach po raz pierwszy przyjechali do Dęblina. Nie mogli jej wprost poznać. Wszyscy jednak zgodnie podkreślali, że choć jest to zupełnie nowa i nowoczesna szkoła, to jednak ze starymi, dobrymi tradycjami spod znaku husarskiego orła.

Tadeusz Chwałczyk

Zdjęcia autora



Dwaj byli dowódcy Wojsk Lotniczych, generalowie dywizji, piloci — Jan Frey-Bielecki (z lewej) i Jan...

Z pamiętnika młodej Polski

Mirosław Derecki

W RODZINIE Jadwigi Orłowskiej — Machowej zachowały się dwa grube, w płótno oprawne tomy: w sumie — prawie tysiąc dwieście stron rękopisu. Jest to pamiętnik, pisany z niezwykłą konsekwencją w ciągu trzydziestu czterech lat, najpierw — przez młodą dziewczynę, urzędniczkę jednego z lubelskich biur administracji austriackiej w latach I wojny światowej, później — studentkę wydziału prawa w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, wreszcie — meżatkę, matkę dwóch synów, wieloletnią pracownicę Syndykatu Lubelskiego.

Tom pierwszy pamiętnika Jadwigi Orłowskiej, liczący pięćset czterdzieści pięć stron, rozpoczyna się 7 maja 1918 r., a kończy 4 lipca 1920 r. i obejmuje zapiski dotyczące wypadków lubelskich w okresie narodzin niepodległej Polski, powstania w Lublinie Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim na czele, a następnie — życia miasta oraz kraju w pierwszych miesiącach niepodległości i walki o granice państwa. Tom drugi, ponad sześćset stron rękopisu, sięga od połowy roku 1920 aż po 28 września 1952 r. Znalazły się w nim notatki z czasów przeżywanej w Lublinie wojny 1920 r., z okresu międzywojennego, drugiej wojny światowej i pierwszych lat po wyzwoleniu... Pisany wyłącznie dla siebie i z myślą o najbliższych, będący swoistą „kroniką jednej z rodzin lubelskich”, uderza pamiętnik Orłowskiej trzeźwością spojrzenia na otaczający autorkę krąg spraw i zdarzeń, daleko wybiegających poza problemy czysto rodzinne.

Rodzina Orłowskich wywodziła się z Lublina; lublinianką była matka Jadwigi, z domu Lerkamówna, kuzynka znanego lubelskiego lekarza, dr. Adama Lerkama; położnika i właściciela prywatnej lecznicy położniczej, najpierw — przy ul. Narutowicza, później — przy ul. Chmielnej.

Jadwiga Orłowska urodziła się w Ufie, na Uralu, gdzie jej ojciec, Ludwik Orłowski, wykładał matematykę w gimnazjum. Najmłodsza (przyszła na świat w 1898 r.) miała jeszcze dwie siostry: najstarszą Halinę (później żonę prezydenta Lublina w latach trzydziestych, Józefa Piechoty, z zawodu nauczycielkę) oraz Wandę.

Po śmierci Ludwika Orłowskiego w roku 1911 (liczył wówczas zaledwie czterdzieści siedem lat) jego żona i córki powróciły do Lublina. Zamieszkały w kamienicy przy ul. Bernardyńskiej (dzisiejsza ul. Dąbrowskiego). Jadwiga podjęła naukę w średniej Żeńskiej Szkole Handlowej przy tejże ulicy Bernardyńskiej (tzw. szkole Vetterów), prowadzonej wówczas przez cenionego i zasłużonego lubelskiego pedagoga Władysława Kunickiego. Szkołę tę ukończyła w roku 1915, mając niespełna siedemnaście lat.

Rodzina Orłowskich pozostawała w bardzo trudnych warunkach materialnych. Jadwiga Orłowska znalazła pracę w jednym z biur administracji austriackiej. Możliwe, że był to odpowiednik dawnego rosyjskiego zarządu Guberni Lubelskiej. Gorąco przeżyła wkroczenie do Lublina ulanów Beliny z orłami na wyszczepionych czworonożnych czapkach i okres stacjonowania w mieście wojsk i instytucji legionowych.

Być może właśnie wówczas związała się z którąś z organizacji niepodległościowych z kręgu Pilsudskiego, choć nie wspomina o tym na stronach swe-

go pamiętnika. Można by się jednak domyślać jakichś związków z ruchem niepodległościowym z uwagi na fakt, że w listopadzie 1918 r. Jadwiga Orłowska, dwudziestoletnia panna, trafiła do biura Sztabu Generalnego Wojsk Polskich w Lublinie i przez jej ręce, zapewne jako zaufanej sekretarki, przechodziły ważne wojskowe i rządowe dokumenty. Młoda kobieta cechuje bezgraniczny entuzjazm wobec Sprawy i — jak w bardzo wielu przypadkach wśród jej rówieśników — równie bezgraniczne zaufanie i podziw dla Józefa Piłsudskiego, uwielbianego „Dziadka”. I w tej mierze jest „pamiętnik” (przy całym krytycyzmie i ostrości spojrzenia na świat przez autorkę) ciekawym przyczynkiem do poznania stanu ducha i patriotycznych uniesień znacznej części polskiej młodzieży u progu nadciągającej niepodległości.

„Co za nadzwyczajne rzeczy dzieją się na świecie! — zapisuje Jadzia Orłowska pod datą 14 października 1918 roku. — Niemcy w ciągu ostatnich dni tak zostali pobici, że zgadzają się na wszystkie propozycje Koalicji. Pokój, nareszcie upragniony, oczekiwany pokój nadchodzi. I dla nas zbliża się godzina wyzwolenia [...]. Najmniejsze dziecko dziś politykuje i zastanawia się, kto będzie prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. Niemcy dopiero teraz zaczynają liczyć się z nami. Zgadzają się na wszystkie żądania Rady Regencyjnej. Dlaczego ja jedna nie wierzę, że będzie wszystko dobrze, nie cieszę się jeszcze, gdyż boję się, że to jest tylko snem, bańką mydlaną, która za podmuchem prysnąć może...”

A w dzień później: „Wolni, wolni jesteśmy. A więc to prawda, to nie sen, tylko tak jest. Wybiła więc dla nas nareszcie godzina oswobodzenia naszego. Polska zmartwychwstała, z ust do ust słyzy się powtarzana wieść radosną [...]. U Widytek (kościół przy ówczesnej ul. Namiestnikowskiej, dziś ul. Narutowicza — M. D.) o godzinie 10 było prześliczne półtoragodzinne nabożeństwo [...]. Władziński miał kazanie. Jak zwykle mówił b. ładnie i śmiało. [...] »Pozbądźmy się prędko naszych złoczyńców — zakończył Ksiądz. Później przy prześlicznej muzyce zaśpiewaliśmy »Boże coś Polskę«. I znów, jak przed dwoma laty, ogarnęło mnie takie jakieś dziwne uczucie, uczucie jakiejś cichej wewnętrznej dumy, że jestem Polką, że jestem córką tej biednej ukochanej naszej ziemi. [...] Po kościele poszłam z Jajzają i Wenus (koleżankami? — M. D.) na Plac Katedralny, skąd miał uformować się pochód. Koło pomnika były dwie mowy — obydwie chłopów — lecz żadnej z nich nie usłyszałam. Później wyprzedziliśmy [...] pochód, żeby się dostać na jego czoło. Pod ogrodem (najprawdopodobniej Saskim Ogrodem — M. D.) było znów parę mów...”

Jadwidze Orłowskiej najbardziej przemawiały do przekonania argumenty mówców — piłsudczyków. A także apele do jedności różnych ugrupowań w momencie, gdy nowe państwo się rodzi. Atmosfera wielu politycznych wieców, jakie odbywały się w ciągu kilku najbliższych dni w Lublinie, była nieraz bardzo gorąca, zaznaczały się w czasie ich trwania zdecydowane podziały między organizacjami niepodległościowymi a socjalistyczną lewicą.

Z entuzjazmem przyjęła Orłowska wiadomość, że Edward Rydz-Smigły, kierujący POW, powołany został przez Radę Regencyjną na stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wojskowych gabinetu Świeżyńskiego. (Notabene w połowie października Rydz-Smigły przyjechał incognito do Lublina).

Najbardziej „gorąco” zapiski w pamiętniku Jadwigi Orłowskiej rozpoczynają się jednak 3 listopada 1918 roku:

„A więc to prawda, że wybiła nasza godzina! Od wczoraj żyje się i czuje inaczej. Wczoraj odbyła się przysięga wszystkich wojskowych Polaków-legionistów, b. oficerów austriackich i innych wojskowych organizacji. Mimo strasznej pogody cały Lublin wyruszył przed Plac Katedralny, by być świadkiem przysięgi wojska polskiego. Dzień ruch w mieście ogromny. Wszystkie magazyny wojskowe w rękach polskich. Samochodami jeżdżą Polacy. Entuzjazm dość duży. Ale wieści okropne ze Wschodniej Galicji, zajęcia Lwowa, Stryja, Kowla i Przemyśla przez Rusinów trwają wszędzie. [...] Gdyby był choć Piłsudski! On jednak ma siłę, on jeden potrafiłby wzbudzić karność i jedność w wojsku. Dlaczego Polacy nie potrafią oswojzić tego najlepszego z ludzi? Jakżeż oni chcą dokonać tak wielkiego dzieła, gdy nie mają siły i nie mogą zdobyć się na uwolnienie Piłsudskiego!”

...dach płonie nad naszą głową, a my wiedzimy kto i jak ma ratować ojczyznę, zamiast brać wiadra do rąk /i po wodę lecieć...

...ta niezgoda nas wszystkich, ten brak jedności gnębi mnie i odstrasza od wszystkiego...

4 listopada 1918 r.: „Trudno sobie wyobrazić, co za szalone zmiany w ciągu jednego dnia! W sobotę wieczorem nikt nie spodziewał się jeszcze niczego, gdy nagle w niedzielę — nie wojsko polskie, nie POW, tylko dzieci, chłopcy 15—16-letni, pozajmowali gmachy i magazyny rządowe. Dziś wszystko już jest w rękach polskich. I koleje i poczta jest już od dziś w naszym ręku. Po raz pierwszy dopiero czułam, co znaczy pracować dla siebie. Od niedzieli ręk nie czuję od pisania na maszynie. Jestem chwilowo przydzielona do Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich w Lublinie. Setki rozkazów przechodzą przez moje ręce. W biurze siedzę do 6. godz. wieczór, chwili wolnej nie mając. Pracuję razem z pułkownikiem Smigłym i majorem Bakuckim.

Jaki jest straszny chaos i nieład, to trudno sobie wyobrazić, kiedy to wszystko dojdzie do jakiegoś takiego porządku. Ja prawdopodobnie zostanę w rządzie polskim, jak zresztą wszystkie Polki.

Dużo, dużo mam do napisania, lecz tak jestem zmęczona i jest już bardzo późno, zostawię więc na jutro, jeżeli będę miała czas. [...]

Wybić się na niepodległość

7 listopada 1918 r.: „Nie pisałam parę dni, a tyle jest do napisania. Cała jestem pochłonięta polityką. Znów wracają czasy z 15. roku. (Wejście do Lublina oddziałów legionowych — M. D.). Znów ulicami miasta kroczy nasze wojsko, nasze polskie wojsko. Każdy dzień przynosi nową niespodziankę. Już nie ma Rady Regencyjnej. Dziś ogłoszony został Tymczasowy Ludowy Rząd Republiki Polskiej. W skład tego rządu weszli ludzie prawie wszyscy znani i bardzo zdolni. Rydz-Smigły jako zastępca Piłsudskiego stoi na czele armii. Młodzież masowo zapisuje się do wojska. Dotychczas wszyscy poddali się Nowemu Rządowi; daj Boże, aby choć utrzymał się!

Ja od paru dni pracuję w Sztabie Generalnym Dowództwa Wojsk Polskich w Lublinie. Roboty marn dużo, ale i zadowolenia też. Cały dzień siedzę w tym biurze, z rozkoszą pisząc rozkazy polskie. Trzyletnia praca w biurze austriackim nagrodzona została. Gdybym może nie pracowała w Guberni, dziś nie odczuwałabym takiej rozkoszy, pracując w polskim biurze. I to specjalnie praca w biurze wojskowym bardzo mi odpowiada. Jestem obecnie

jedności gnębi mnie i odstrasza od wszystkiego”.

20 listopada 1918 r.: „Lwów, Lwów. Wszyscy dziś tylko ten jeden wyraz powtarzają. Boże, co za okropności dzieją się we Lwowie! Jakich cudów dokonuje ta garstka młodzieży, dzieci prawie. [...] A my tu wiedzimy, radzimy, stwarzamy cztery rządy, zamiast iść walczyć razem z nimi. [...] O Boże, dach płonie nad naszą głową, a my wiedzimy, kto i jak ma ratować Ojczyznę, zamiast brać wiadra do rąk i po wodę lecieć. [...] Nie, ja nie chcę tak myśleć, ja wierzę, że obudzi się w nas wolnych — silny duch, który nie pozwoli nam obojętnie patrzeć na braci, którzy giną, na ich bohaterstwo, na ich poświęcenie. Oby tylko nie zbudził się za późno! [...]”.

Jak wiadomo, Piłsudski nie przystąpił do rządu Ignacego Daszyńskiego. Powołał wkrótce do życia rząd całkowicie sobie podległy kierowany przez premiera Jędrzeja Moraczewskiego. Nie był też „Dziadek” zachwycony uczestnictwem Smigłego-Rydzę w Rządzie Lubelskim, czemu podobno, we właściwy sobie sposób, miał dać wyraz. Ale to już inna sprawa.

Nie zięcili się marzenia Jadwigi Orłowskiej, że będzie mogła pracować w pobliżu „Dziadka”, pozostała w Lublinie. Wstąpiła na nowo otwarty tutaj uniwersytet i — pracując jako urzędniczka Syndykatu Lubelskiego — skończyła studia prawnicze w 1924 roku, uzyskawszy magisterium na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie.

Była zawsze osobą niezwykle odpowiedzialną, pracowitą, energiczną. Działała w uczelnianych organizacjach młodzieżowych i w harcerstwie. Szacunek i uwielbienie dla Piłsudskiego zachowała na zawsze, choć nie zawsze zgadzała się z jego późniejszą polityką. Od wczesnej młodości troszczyła się o utrzymanie matki i siostr, a później, po śmierci męża, wychowywała w trudnych okupacyjnych warunkach dwóch małych synów.

Towarzyszka życia znalazła dość późno. Jej ślub z działaczem lubelskiej spółdzielczości, absolwentem wydziału nauk społeczno-ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, kpt. rez. Józefem Machem, odbył się w 1935 roku, w tym samym roku zamieszkali oboje we własnym wygodnym mieszkaniu w spółdzielczej kamienicy przy ul. Wieniawskiej 6. W 1936 roku urodził się im syn Jacek, a w rok później drugi syn — Wojciech.

W ostatnich przedwojennych latach sytuacja rodzinna i finansowa Jadwigi Orłowskiej-Machowej wydała się już pewna i ustabilizowana. Dochodziła do tego osobista satysfakcja zawodowa dawniej Orłowskiej: po latach pracy w Syndykacie Lubelskim doszła tam do odpowiedzialnego stanowiska kierownika działu handlowego; prowadziła także administrację lubelskiego hotelu „Victoria”.

Wszystko to zawaliło się 1 września 1939 roku. A potem przysły lata okupacji. Kpt. Józef Mach wrócił wprawdzie szczęśliwie z kampanii wrześniowej, ale 10 kwietnia 1940 roku zmarł niespodziewanie na atak serca.

Jak się już rzekło, ostatni raz słągnęła Jadwiga Orłowska do pamiętnika 28 września 1952 roku, zapisując swoje wrażenia związane z ukończeniem przez starszego syna gimnazjum i wyborem przez niego kierunku studiów.

A z pracą rozstała się w wieku siedemdziesięciu jeden lat, kiedy to zdecydowała się, w 1968 roku, przejść na emeryturę.

Zmarła trzy lata później.

Pierwsza część pamiętnika Orłowskiej znajduje się dzisiaj w Gdańsku, gdzie mieszka jej starszy syn, Jacek, dziennikarz. Druga część — w Lublinie, przechowywana przez młodszego syna Wojciecha, lekarza.

I to już koniec opowieści o pewnej młodej dziewczynie z Lublina, która w listopadzie 1918 roku zachłysnęła się niepodległością.



Jadwiga Orłowska.

najlepiej i najwcześniej powiadomiona o wszystkich sprawach, tak bardzo mnie obchodzących. Jeszcze nie wiem, jeszcze sama sobie nie zupełnie zdaję z tego sprawy, ale chyba stopniowo zaczyna wracać mój zapał i energia. Dziś, gdy byłam na przysiędze, gdy wszyscy żołnierze przysięgali, gdy jeden wspólny, ogromny, potężny wydał okrzyk na cześć Piłsudskiego i Rydzę-Smigłego, znów tak dziwnie zrobiło mi się. Ogarnęło mnie uczucie jednocześnie radości i obawy. Czy Rząd ten pośle swemu zadaniu i czy godnie wytrwa na swym stanowisku. Dobrze, że choć na czele wojska stoi Rydz-Smigły. To cię Piłsudskiego, jak się wyraził jeden z b. oficerów austriackich. W biurze ciągle ich widuję, tj. Rydzę i majora Burhard-Bukackiego”.

11 listopada 1918 r.: „Dziadek przyjechał! Słychać wszędzie głosy radosne. Komendant Piłsudski, nasz »Dziadek«, jest już nareszcie wolny, nareszcie znów razem z nami będzie pracować, a właściwie przeprowadzić nam będzie. Jest to jedyny człowiek, w którego potęgę bezgranicznie wierzę, i wierzę że jest on jedynym człowiekiem, który doprowadzi do celu. Jest już w Warszawie, za parę dni przyjedzie do Lublina, zobaczę go z bliska, a może nawet będę pracowała trochę z nim. [...] Co za szalony zapał do wojska! A szczególnie teraz to będzie, gdy »Dziadek« wróci! [...] Wczoraj przyjechało 600 studentów, wszyscy zapisali się do wojska. Przyjechał Janek Lerkam (kuzyn Jadwigi — M. D.). Wstąpił jako oficer do W. Polsk. Dziś już wyjechał do swego pułku. [...]”.

15 listopada 1918 r.: „Piłsudski razem z nami, »naród z Piłsudskim, Piłsudski z narodem«. Ciągłe słyzy się te i tym podobne zdania.

Wczoraj w biurze podpułkownik Burhard dał mi do przepisania własnoręczną odezwę Piłsudskiego do żołnierzy. Dał mi ją, mówiąc: »Od pół godziny czekam na panią, nikomu nie chciałem zrobić tej przyjemności i dać do przepisania pierwszego rozkazu Komendanta. Niech pani patrzy, to jest własnoręczny podpis Komendanta!« I przy tych słowach czy wielki jak groch padły na podpis »Dziadka«...

Ogólne nasze położenie jest okropne. Walki z Ukraińcami, brak zupełny ludzi do wysłania na pomoc. [...] Cieszę się, że pracuję w wojskowym biurze; przynajmniej wiem, że choć trochę pracuję dla dobra Ojczyzny. [...] Tylko ta niezgoda nas wszystkich, ten brak

Czesław Kuriata

Dojrzały mężczyzna patrzy na młode dziewczyny

One idą w powietrzu
niczym wazki muskające powierzchnię
wody
Ja zapadam się z każdą
myślą
jak kamień w wodę

One
skrzydła motyle maja u stóp
Ja kulę skazania
uciekającego czasu

A jednak
ich piękno byłoby bez znaczenia
gdyby trwało wiecznie



Nasza miłość jest niczym piotun,
I co dzień w niej tyle popiołu.

Nasza miłość trudna, jakże toporna —
Nie wróży z gwiazd, ni z lotu orła.

W słońcu nasza miłość ciemnieje.
I trwa w codziennych zawiejach.

Odczytanie po latach sensu dwóch notatek z młodzieńczego kajetu

Sens pierwszy

Dożenie do naprawy świata
rodzi się w dzieciństwie.
Dzieje się tak za sprawą dorosłych,
którzy w ten sposób
kopia sobie pierwszy grób.

Sens drugi

Kiedy uświadomilem sobie,
że spotkała mnie prawdziwa miłość
zrozumiałem,
iż mogę odtąd wierzyć nawet w to,
co nie istnieje.

Niestety
o wiele później odkryłem,
że szczęśliwie zakochana
na zawsze traci inteligencję.

Przodownica

Największa na świecie
przodownica stachanowka
to śmierć

Ona aktualna
we wszystkich
erach
a więc jej dorobek
nieskończony

W czasie wojny
a także podczas rządów
tyranów
wyrabia tysiące procent
normy

Trochę mniej
podczas epidemii
i kataklizmów

W okresie pokoju
też radzi sobie nieźle
a nawet przekracza
limity
o czym świadczą nekrologi
na jej cześć

Wiersze wyjęte z przygotowywanego do druku tomu pt. „Arytmia”.

JESIENIA myszy rozpoczęły inwazję. Roily się na ulicach. Były szybsze niż piesi i wozy ciągnięte przez konie. Ale nie mogły sprostać samochodom. Dlatego przechodnie widzieli na jezdniach miasteczka krwawe plamki, a pośród nich małe myszy ścierwa.

Koty szalały, lecz nie mogły opanować sytuacji.

— Zimno i wcześniej spadł śnieg — powiedział ojciec do Pawła. — Nic dziwnego, że plaga.

— Ja zwariuję — odezwała się matka.

— Nie mów! Nie mów, jakby się to dopiero miało stać.

Ojciec nie zawsze był miły dla matki.

— Wchodzę do spiżarni, kucam, żeby wziąć słoik z konfiturą, a one biegają pomiędzy słoikami. Jedna skoczyła mi na głowę. — Matka nie wiedziała, co ma zrobić z rękami. Od kiedy pojawiły się myszy, wykonywała mnóstwo zbędnych ruchów. — Inne wskoczyły na mnie i po rękach, nogach zbiegły na podłogę.

Wziął udział w olimpiadzie matematycznej dla uczniów klas ósmych. Była to impreza o zasięgu międzywojewódzkim. Liczył na wygraną. Liczył nie tylko na swoją wiedzę, ale także znakomitą pamięć.

Wszyscy uczestnicy olimpiady orientowali się, że podczas finału zetkną się z testem badającym właśnie ich pamięciowe możliwości, bowiem matematyka to nie tylko umiejętność abstrakcyjnego myślenia.

Test mógł być dla niego szansą, tą największą, bo, a orientował się dobrze, pozostali uczestnicy olimpiady, przynajmniej ci z zaprzyjaźnionych szkół, reprezentowali poziom równy jego poziomowi, lecz nie dorównywały mu pamięcią.

— Może nie być tego testu — powiedział ojciec.

— Regulamin mówi, żebyśmy brali pod uwagę taką możliwość.

— Ale tylko brali pod uwagę.

Ojciec odłożył szpachelkę. Razem z Pawłem zagipsowywał małe szpary. Nie brak ich było w

Pół godziny temu opróżnił plastikowy kubek na śmieci. Potem zjadł kolację. Jej resztki wrzucił do kubka. Teraz spod zlewozmywaka, pod którym stał kubek, dochodziło delikatne chrobotanie. Otworzył drzwi szafki i zajrzał do kubka. Znajdowała się w nim mysz. Usiłowała wyskoczyć z kubka, lecz jej próby były daremne. Nie mogła zaczepić pazurkami o gładkie, plastikowe ścianki. Przycupnęła na dnie kubka.

— Mam cię, suko — powiedział.

Poszedł po szczotkę. Jej kijem miał zamiar rozgnieść mysz. Był na nią szczególnie zły, bowiem od kilku dni żadnej myszy w domu nie dostrzegł. Po prostu dobrze, wraz z ojcem, dom przed nimi zabezpieczył. W miasteczku też już było mniej myszy.

— Bezczelna — powiedział.

Przyglądał się wysiłkom zwierzątka. Wskakiwało na ścianki kubka i osuwało się po nich. Patrzył na to z satysfakcją.

Ale po kilku minutach nabrał szacunku dla wysiłków myszy.

Chłopiec i mysz

Andrzej Gerłowski

— Bezczelne — stwierdził ojciec. — Zazwyczaj wieją przed ludźmi, jednak jest ich tyle, że przestały się z tobą liczyć.

— To nieprawda, że wplątują się we włosy, bo przecież by mi się wplątały.

— Mówią, że nietoperze tak robią, a nie myszy.

Matka najchętniej przebywała w łazience. Prała. Jeszcze nigdy nie mieli na raz tyle czystej bielizny i pościeli.

Myszy w łazience pojawiały się rzadko.

— Znalazła sobie azyl — powiedział ojciec do Pawła — tylko nie ma już co prać.

Matka chciała rozłożyć trutki. Ojciec nie zgodził się. Zdechłe myszy śmierdzą jak wszelka padlina. Zatrute, powłaziłyby w różne kąty. Jak je stamtąd powyciągać?

Porozstawiał więc łapki.

Paweł wypominał matce, że nie chciała kota w domu.

— Miałabyś teraz, mamo, sojusznika — powiedział.

Matka uznała, że syn drwi. Uderzyła go w twarz.

Prawie nie wychodziła z łazienki.

W końcu ojciec zaproponował jej, żeby wzięła urlop i wyjechała. Miała rodzinę w Warszawie, Łodzi, Kielcach. Jej cioteczny brat, Janusz, był tam kustoszem w muzeum.

— W porządku — powiedział ojciec. — Do Kielc możesz jechać, wszak myszy zjadły Popiela w innym regionie.

Matka zaczęła się śmiać. Nerwowo to był śmiech, jednak z pewnym odcieniem ulgi.

Popłakiwała, kiedy układała rzeczy w walizce.

— Jak wy tu sobie poradzicie?

— Nie martw się, mamo, będzie spokojnie bez ciebie.

— Jesteś okropny.

— Tylko rzeczowy — wtrącił ojciec.

— Dreczą mnie wyrzuty sumienia — powiedziała matka.

Ale wyjechała.

Już po wyjeździe matkę spotkało go poważne niepowodzenie.

domu. Kilka większych dawno już zagipsowali. Gips zmieszali ze szkłem. Myszy takich zapór nie lubią.

— Równocześnie przygotowujesz się do teleturnieju o Bolesławie Prusie.

— To mój ulubiony autor.

— Robisz dwie ważne rzeczy naraz. A ponadto normalnie chodzisz do szkoły. A jeszcze te myszy...

— Tato, wpieniają mnie. Kradną więcej czasu niż żarcia.

— Idź, umyj ręce i bierz się do nauki. Sam wygipsuję.

Po umyciu rąk Paweł zaczął przygotowywać sobie posiłek. Zazwyczaj posiłki przygotowywała matka. Robiła też zakupy. Pomagał jej w tym on i ojciec. Ale nie ma się co zażalować — głównie ona je robiła. Teraz zaopatrzenie domu w jedzenie zabrało ojcu i jemu sporo czasu.

Najbliższy sklep był odległy o kilometr. A sprzątanie domu? A pranie bielizny? Skarpet?

— W złym momencie zwały się myszy — powiedział Paweł do chleba, który kroił. — Dla mnie w bardzo złym. Szkoła, olimpiada, teleturniej. Dużo! A matka wyjechała. W bardzo złym dla mnie momencie wyjechała!

Był zły na myszy i matkę, albo na matkę i myszy.

Odłożył chleb, powiedział:

— A niech to cholera!

— Co, skaleczyłeś się? — zapytał ojciec. — Ale nie powód, żebyś kłął.

— Myślałem, że tatuś nie słyszy

— Ale się nie skaleczyłeś?

— Nie.

— Nie klinij, nawet kiedy ja nie słyszę.

W olimpiadzie zajął dopiero drugie miejsce. Klęska!

Organizatorzy nie wprowadzili do finału testu na sprawność pamięci. Dlatego przegrał.

Siedział wieczorem w kuchni i rozpamiętywał porażkę. Ojciec już spał. Słyszał jego chrapanie. Ale jeszcze coś usłyszał...

— Dam ci drugą szansę — powiedział — bo pierwsza to była ta, że cię od razu nie zabiłem.

Zwinał gazetę w rulonik i włożył do kubka.

— Mamo, zwiewaj, myszko! I siakoś — że mnie też tak nikt nie pomógł. Miał na myśli przegraną olimpiadę, test którego nie było.

I tym razem wysiłków myszki nie zwieńczył pomyślny finał. Ześlizgiwała się po gładkiej powierzchni gazety.

Nalał wody do szklanki. Polał gazetę. Czekał, aż nasiąknie wodą i stanie się miękką.

Doczekał się. Myszka wyskoczyła z kubka i zniknęła za zlewozmywak.

— W porządku — powiedział — przede mną jeszcze teleturniej.

Było mu dobrze, lekko. Wierzył, że wszystko mu się uda.

Rano, kiedy leżał w łóżku niezupełnie jeszcze rozbudzony, wydawało mu się, że słyszy głos matki.

Ależ tak! To nie złudzenie! Matka rozmawiała z ojcem!

Leżał przepelniony niezwykle ucuciem.

— Nieprawdopodobne! — powiedział do siebie. — Nieprawdopodobne! Jak cudownie, że wczoraj nie byłem ckrutny.

Słyszał głosy rodziców.

— Nie sądziłem, że tak szybko przyjedziesz.

— Napisałeś mi, że w domu nie ma myszy. Nareszcie znowu jestem z wami. Zajrzę do niego.

— Niech jeszcze pośpi. Położył się późno.

Głosy oddaliły się. Rodzice poszli w głąb domu.

— No i czy z ciebie nie cymbał? — powiedział głośno. I zaraz cicho: — Nie, bo przeżyłeś i tak coś wspaniałego.

Leżał bez ruchu i napawał się swoją prawdą.

Z Jerzym na rybach

Wanda Wasilewska

ZBRZYDŁY już odczyste okonie i szczupaki. Marzę o boleniach, sandaczach i sumach. Czy można przyjechać? Można. Z tymi boleniami to prawda, nie bardzo pewny interes, ale sandacze i sumy, proszę bardzo. Niemal gwarantować.

Tylko że lato jest zupełnie wariackie. Na wiosne staruszek Dniepr ani myślał wychodzić z brzołów, a teraz słońce pali jak na Saharze, bez przerwy wieje gorący wiatr, a woda katastrofalnie opada. Wylała z wody mielizny jak cielska wielorybów, wysoko sterczą urwiska prawego brzegu, wysychają zatoczki i stare koryta. Wyrzucają się na powierzchnię lawice skópek, muszelek i gniją na słońcu, wydając niemożliwy fetor. Tam, gdzie przedtem można było tylko przepływać, teraz woda sięga ledwo do kolan; tam, gdzie były głębiny, teraz małki spokojnie puszcza dzieci i nawet nie oglądając się na nie, wracają do domu, chować się w dzień, pewnie, że nie się nie zdarzy ich pociechom. Na obnażonym dnie przedko, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyrasta zielona, gęsta trawa — ale to nie trawa, to młoda wilklina, wysysająca uciekającą w piasek wilgoć. Motorówki trzeba stawiać dalej, przynajmniej przez mielizny, które w ciągu nocy zdażyły się wytworzyć na tyle, że niemal zamykają przejścia. Pesymiści twierdzą, że już — już i wyjście na główne koryto Dniepru będzie zamknięte.

I co? Będziemy się krecili na tych kilku kilometrach starego koryta?

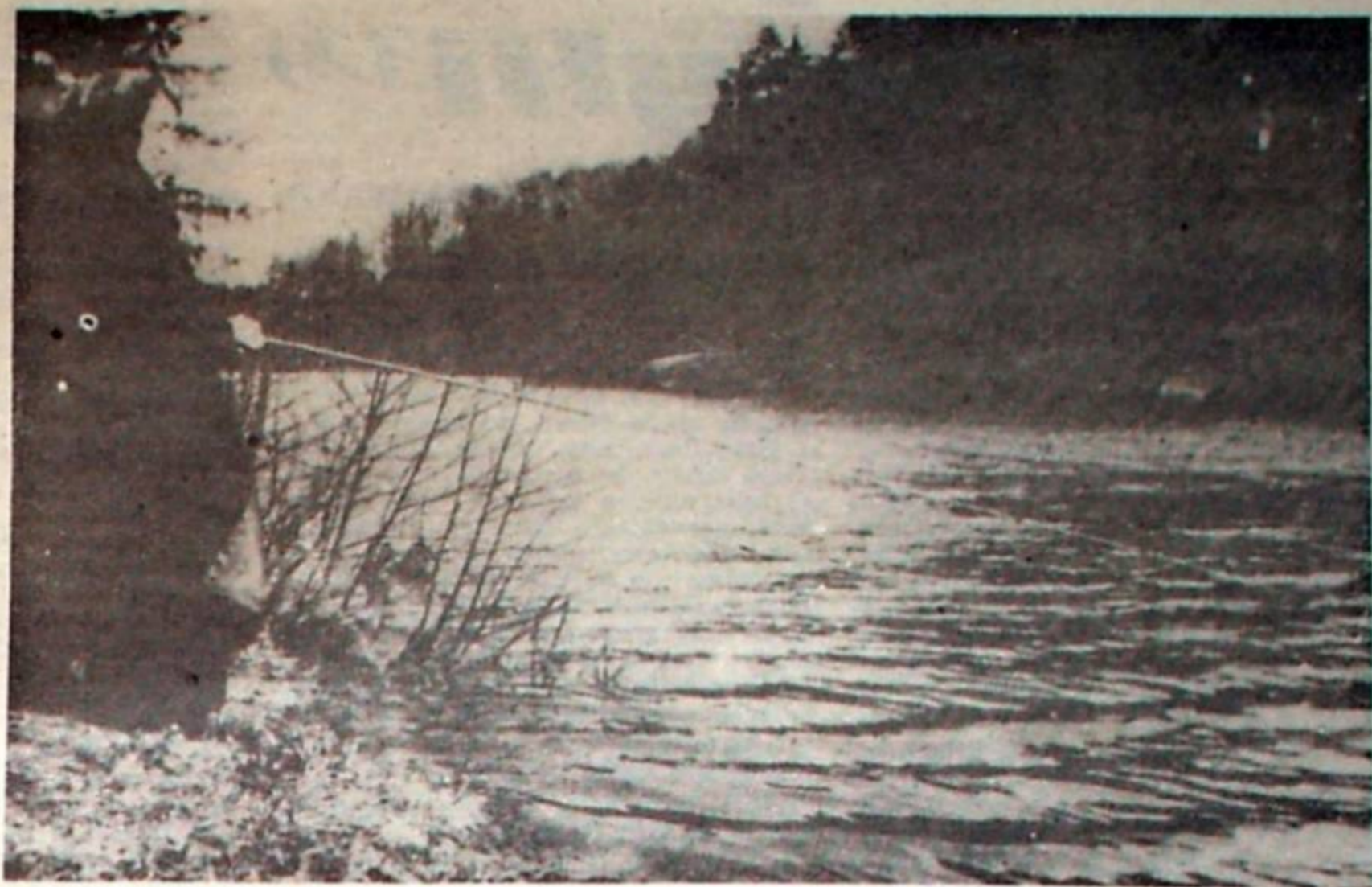
Po wysychających jeziorkach, potoczkaich, przesmykach dzień i noc brodzą brakonierzy. Z toptuchami, siatkami, saczkami wyciągają ryby z miejsc, które nigdy dotąd nie były dostępne. Przywożą pełne wiadra, kosze, worki.

Ryby są. Jest ich mnóstwo. Tylko, że nie chcą brać. Leniwe leżą w przegrzanej wodzie, zielonej od wodorostów, otumanione ostrym zapachem gnijących roślin i maż, bez apetytu. Leniwe, jak z laski, biora przynętę, ledwo, ledwo szarpiąc splawikiem, i wypuszczają ją z pyszczką, kiedy tylko poczują szarpnięcie. Okoni bierze jak płotka, szczupak jak mały leszcz, wielka ryba jak mała. Ryby, widać, reagują na upał prawie tak jak ludzie. Nie chce im się ruszać i nie chce im się jeść.

Ale są. Kiedy zachód słońca różowi wodę, orzwałają się w niej, pluszczą — wielkie kregi bez przemywu rozchodzą się po błyszczącej powierzchni.

O piątej rano przychodzi pociąg. Na drugi dzień rano składamy do motorówki wszystko, czego nam potrzeba. Wiadno ze szczypawkami, skrzynek z dżdżownicami, pościel, jedzenie („Nie bierz dużo, będziemy mieli przecież ryby”) i cały las wodek.

Lata mijają szybko. Chudy student Wileńskiego Uniwersytetu nie jest już chudym studentem, ale potężnym mężczyzną w okularach. W ciągu minionych lat zdażył już być żołnierzem i oficerem, dyplomata i ambasadorem, posłem do parlamentu. Ale teraz jest tylko rybakiem i od świtu brzdzi na temat boleni, sandaczy i sumów.



Wanda Wasilewska

Niedaleko plusnął sandacz.

— Boleń — z całkowitą pewnością twierdzi członek parlamentu sąsiedniego, zaprzyjaźnionego państwa.

— Sandacz — stwierdza z całkowitą pewnością dwójka deputowanych Najwyższej Rady ZSRR. Bo choć łódź ma obsadę międzynarodową, to całkowicie parlamentarna.

— Nie, boleń.

Niech ci będzie boleń. Może być, że w tamtym kraju bolenie rzucają się właśnie tak. U nas inaczej, ale, jak wiadomo, cudze doświadczenie jeszcze nikomu nie pomogło i nikogo niczego nie nauczyło. Każdy musi sam spartyc się na gorącym i podmuchać na zimne.

Wbrew pesymistom, można wypłynąć na Dniepr, choć trzeba to robić z zachowaniem wszelkich możliwych ostrożności. Zdradliwe mielizny czują z prawa i z lewa, ale środkiem przechodzi smuga głębszej wody, jakby rów, i tędy łódka prześlizguje się obok czerwonego znaku głębokiej wody, po której już idą parowce.

Rzeka lśni jak lustro, ogień leje się z nieba, upał trwa, bokiem przeciągają od czasu do czasu chmury, ale chmury w tym roku także nie są normalnymi chmurami — ani myślą wylewać się deszczem, ani myślą wybuchnąć burzą.

Płyniemy w wiadome sobie miejsca, wspinając się, zaczerpnięte miejsca pełne ryb, gdzie bierze wielki sum, szybki sandacz; gdzie wprawdzie hula, ale prawie nigdy nie bierze ten właśnie upragniony boleń; gdzie polują na zdobycz wielkie, garbate okonie i przecina fale żarłoczny szczupak.

Tylko że i tu wszystko się zmieniło. Tam, gdzie pod wysokim brzegiem ciągnęło się stare koryto, raj okoni, teraz idzie główny prąd i statki przechodzą zbyt blisko, żeby postawić u brzołów motorówkę. Tam, gdzie w zeszłym roku szły statki, jest właśnie stare koryto, i tam przybijemy do brzegu.

Dalej, na nieszkodliwą odległość, namiot i łódka, tuż koło nas w małej zatoczce łódka, w której śpi na słońcu bosonogi rybak w wypłowiałej koszuli i nieokreślonego koloru wystrzępionych pontkach. Jerzy wędruje po brzegu ze spinningiem, my zarzucamy donki, Jerzy wraca triumfalnie z wielkim sandaczem.

Okazuje się, że żywe zdechły. Idziemy z Jerzym do rzeczki — rzeczka prawie wyschła, jęczotka, blok, świnia grzebie się w śmierdzącym błoku, robimy świni konkurencję, łowiąc szczypawki.

Noc w Szczuczynce — zbiera się na burzę, zostawiamy Jerzego, płyniemy na drugą stronę, błyskawice, wicher, w nocy przeprowadzamy się do zatoczki. Ranek — Jerzy niewyspany na brzegu, szczęśliwy, dwie ryby.

Znow łowimy w Szczuczynce — miętus, puzo-

ga.

Zatoka pod Sieliszczami — nocujemy oddzielnie, sum.

Wracamy — nocleg na „czajczej” wysepce, ani on, ani my żadnej ryby.

Wracając, decydujemy się wstąpić do naszej protoki. Prawie wyschnięta.

Przyznanie — pierwszy raz w życiu nocował pod otwartym niebem. Nigdy nie zapomni. Moje wyrzuty sumienia!

Po II wojnie światowej Wasilewska zamieszkała na stałe, wraz ze swoim mężem Aleksandrem Korniejczukiem, w Kijowie, tam też zmarła w 1964 roku. Tekst niniejszy nie był publikowany, maszynopis odnalazł i skopiował w Archiwum-Muzeum Literatury i Sztuki USRR w Kijowie dr Henryk Pawlik, rusycysta z UMCS (w dziale Wandy Wasilewskiej, sygnatura nr 73). Napisany został najprawdopodobniej w ostatnich latach życia autorki. Nie zdażyła pisarka tego utworu „oszlifować” i zatytułować (tytuł pochodzi od naszej redakcji). We wspomnianym wyżej archiwum znajduje się niemało dokumentów świadczących o bliskich kontaktach Wasilewskiej z Jerzym Putramentem, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Janiną Broniewską, Władysławem Machajkiem, Bogdanem Czeszko i innymi przedstawicielami kultury polskiej. Nad zalewem w Piłtach Wasilewska posiadała dachę. Lubiała łowić ryby, czego dowód w jej cyklu opowiadań pt. „Cudny Dniepr przy każdej pogodzie” (1955).

Tomasz Wincenty Rzepa

Żywioty

Tę powietrze gładkie
delikatne i wonne
opływa nas jak rzeka
i płyniemy w niej

Tyle w nim wysp
łądów nieodkrytych
i ptakiem jestem
dobiegnę dofrunę

Żywioty wody
powietrza i ognia
i my wyrzuceni
w swojej cielesności

Poza materią
byłuję ukradkiem
i tylko mnie w wymiar
ciężar mój kamienny

* * *

Wilkiem mi jesteś
bracie mój zwyczajny
to w ciebie spadam
kłami i pazurem

Nasze braterstwo
wilcze wycie w nocy
nasza ofiara
to ofiara krwi

My przemienieni
w wilków i tygrysów
codziennie na nowo
uczymy się żyć

Nielatwa szkoła
przemienionych w wilki
i świat nowy
do puszczy podobny

przenikanie pejzaż wewnętrzny

utonąć w sobie nie za wiele tego
niby gest przejrzysty nieodgadły jednak
zapach po deszczu złamany asfaltem
chwile przeżyte chwile zatrzymane

przeniknąć w siebie odgadnąć do reszty
którą się czasem płaci powolną kamienią
odtrąceniem ręki tęsknotą nabytą
na pastwę spojrzeń na uśmiech odległy

zanurzyć się w tobie wtedy jest nas jedno
do ciebie ode mnie odd nas i do tego
ta tkliwość wyzwolona zachwycenie nagle
żeby tylko uwiaryć tchu nam wtedy starczy

jestem nie tylko dla siebie rozumiesz zupełnie
tyle ciebie dla mnie ile jest nas razem
nie miała otwierać oczy ja rozkładam cienie
by łatwiej wejść można w ten pejzaż wewnętrzny

Polacy w Brazylii (2)

Teresa Hrankowska

POD koniec XIX wieku liczba polskich emigrantów w Brazylii gwałtownie wzrasta. W tym czasie kryzys w przemyśle włókienniczym na ziemiach polskich zbiegł się z kryzysem w rolnictwie, spowodowanym pojawieniem się na rynkach europejskich zboża kanadyjskiego i amerykańskiego. Chłopi często bez namysłu likwidują dobytek i udają się za Ocean. Czynnikiem stymulującym były namowy agentów oraz wieści od krewnych i znajomych, niebagatelną rolę odegrał też „List otwarty do Polaków w zaborze pruskim”, złożony na ręce kolonistów w Kurytybie. Jego autor, prezydent Parany, wicehrabia Taunay, pisze w 1885 roku:

„Rodacy wasi w Europie są jeszcze ciągle skazani na niedolę i cierpienia. [...] Wy, którzy już tu mieszkacie, opowiedzcie, czym jest Brazylia, przedstawcie gwarancje, jakie chronią każdego, kto szuka w niej schronienia, oraz przyszłość, jaka ich czeka [...]. Napiszcie do wszystkich, którym los nie sprzyja, że tu istnieje NOWA POLSKA, gdzie panuje szczęście i bezpieczeństwo, w przeciwieństwie do nieszczęść i niepewności w STAREJ POLSCE”.

Ten przyjazny stosunek władz brazylijskich do Polaków ujął w formę fabularną parański pisarz i wydawca, Paweł Nikodem, opisując wizytę cesarza Pedro II w polskiej osadzie Santa Candida. Kiedy cesarz wyraził życzenie zobaczenia młodej zboża, — „w

mig rozłożono na klepisku stóp żyta. Para gospodarzy zakasała rękawy, żony ich podwiązały odświętne kieciki, po czym rozległ się rytmiczny gruchot cepów, najpierw statecznie po bochenku, po bochenku, na dodatek zaś i tanecznie po bocheneczku, po bocheneczku... Raz, dwa, trzy, cztery... Raz, dwa, trzy, cztery — uczył się cesarz liczyć w takt cepa, a zabawna lekcja powiarała po nim, po żakowsku rozochoceni, gubernator, prefekt i reszta swiły”. A potem polskie gospodynie upiły bochen razowego chleba dla cesarzowej.

„Po raz pierwszy dane mi było ujrzeć w moim państwie, co się tobi, żeby mieć chleb” — oświadczył cesarz na przyjęciu urządzonym przez osadników na jego cześć.

A potem wznosił toast:

„Na złote czasy i jasną przyszłość naszej drogiej Nowej Polski!”.

★

Napływ ludności z zaboru pruskiego był początkowo największy: w latach 1875—1890 wyjechało stamtąd około 20 000 osób. Podczas wielkiej fali emigracji, określonej nazwą pierwszej „gorączki brazylijskiej” (lata 1890—1891), według danych komisji emigracyjnej liczba wyjeżdżających wyniosła 40 000, w tym 38 000 z Królestwa Kongresowego, skąd chłopcy — nie mogąc uzyskać od władz carskich zgody na wyjazd — przekradali się przez „zieloną granicę”

do Berlina, a następnie jechali pociągiem do Hamburga i Bremy.

Drugą „gorączką brazylijską” datuje się na lata 1894—1896, wyjeżdżali wówczas przede wszystkim ludzie z zaboru austriackiego. W roku 1894 ziemie te opuściło 10 000, a dwa lata później 12 000 osób. Podczas trzeciej „gorączki brazylijskiej”, która przypadła na okres 1907—1914, wyjechało z Polski około 25 000 osób. Obliczenia te nasuwają szereg trudności, głównie dlatego, że narodowość przybyłych określana była w Brazylii na podstawie przynależności państwowej do Prus, Austrii i Rosji. Według Ruy Ch. Wachowicza, profesora uniwersytetu w Kurytybie — który w swoich obliczeniach oparł się na statystykach brazylijskich — liczba Polaków przybyłych w latach 1890—1914 wyniosła 80 000 osób, z czego 33 000 osiedliło się w Paranie, 31 000 w Rio Grande do Sul i 7 000 w Santa Catarina.

Te masowe wyjazdy, zmniejszające wydatnie siłę roboczą w kraju, nie mogły pozostać bez echa. Zainteresowały się nimi władze zaborcze, usiłując przeciwdziałać w różnorodny sposób: aresztowano agentów emigracyjnych, zatrzymywano korespondencje, rozwijało propagandę antywyjazdową przy udziale wójtów i księży, wydawano broszury mające odwieść ludzi od opuszczenia kraju. Działacze wysuwali projekty reform, które miały poprawić sytuację ekonomiczną. „Kurier Warszawski” delegował do Brazylii w roku 1890 Adolfa Dygasińskiego, aby zpoznał się na miejscu z sytuacją kolonistów. W rok później wyjechał w tym samym celu Zygmunt Chelmiński i Mikołaj Glinka, a następnie Józef Siemiradzki i Antoni Hempel. Opinie były różne. Dygasiński w swoich „Listach z Brazylii”, przedstawiając życie wychodźców, kreślił czarne perspektywy emigracji południowoamerykańskiej, podczas gdy Józef Siemiradzki w książce „Szlakiem wychodźstwa”, wydanej w roku 1909, tak pisze o Paranie:

„Na całym obszarze stanu tego niekoronie nie zabraknie chleba, kto jest pracowitym i zapobiegliwym; każdy osadnik, po przebyciu bardzo ciężkich początków, może się w krótkim stosunkowo czasie, bo w przeciągu 2—3 lat wytrwalej pracy, dorobić porządnego gospodarstwa, a z dochodu za wieprze, słoninę, drób, nabiał i — herwa mate — zaspokoić niezbędne warunki gospodarskie”.

I wyjazdy nie ustawały. Większość emigrantów czyniła starania o sprowadzenie z kraju rodzin i sąsiadów, a chęć wyjścia z biedy była celem najważniejszym. Nawet po uzyskaniu przez Polskę niepodległości emigracja trwała; w latach 1918—1939 wyemigrowało do Brazylii 40 000 osób; to oznacza utrzymywanie się liczby wychodźstwa na tym samym poziomie, co podczas rozbiorów.

Od momentu przybycia do Brazylii polski emigrant pozostawiony był samemu sobie. Na pomoc Polski nie mógł najpierw liczyć, ponieważ nie istniało państwo polskie, zaś po uzyskaniu niepodległości, po stu dwudziestu trzech latach niewoli, sprawa jego lokowała się w sposób oczywisty na dalszych planach. Ze strony władz brazylijskich pomoc była mała. Przed kolonistami polskimi przyjechali m. in. Niemcy i Włosi, kraj nie cierpiał już dotkliwie na brak rąk do pracy i miał szereg wewnętrznych problemów — nie stać go było na otaczanie cudzoziemców opieką.

Wszystko to sprawiło, że należało szukać rozwiązań we własnym zakresie. Tak więc Polak po wybudowaniu domu na działce przystępował do budowy drogi łączącej go ze światem (co finansowały władze prowincji), następnie wespół z sąsiadami budował kaplicę i sprowadzał księdza, który stanowił dla niego ważne oparcie psychiczne w obcym kraju, a dopiero wtedy

Z historii najnowszej

Środek nadzwyczajny

„Moskowskie Nowosti” o 1968 r. w Czechosłowacji

TYGODNIK „MOSKOWSKIE NOWOSTI” opublikował wspomnienia radzieckich korespondentów, pracujących w Czechosłowacji w okresie tzw. praskiej wiosny i interwencji wojsk sojuszników w sierpniu 1968 r. Jak stwierdza tygodnik, interwencja była środkiem nadzwyczajnym, podyktowanym koniecznością położenia kresu narastającemu kryzysowi, zapobieżeniu groźbie utraty zdobyczy socjalistycznych przez czechosłowackie masy pracujące oraz naruszenia równowagi strategicznej i bezpieczeństwa światowego socjalizmu. „MOSKOWSKIE NOWOSTI” stwierdzają, iż niejednoznaczny, złożony charakter ówczesnych wydarzeń szczególnie ostro odczuli radzieccy korespondenci pracujący w Pradze. Nie o wszystkim jednak, co widzieli i wiedzieli, mogli napisać w prasie.

Zdaniem Władłena Kriwoszejew z „IZWIESTII”, wiele z wydarzeń 1968 r. można wyjaśnić poprzez odwołanie się do sytuacji czechosłowackiej gospodarki z tamtego okresu. Źródłem kryzysu trzeba szukać właśnie w ekonomii; dopiero później nabrał on charakteru politycznego... Od 1915 r. — twierdzi W. Kriwoszejew — czechosłowaccy ekonomiści wskazywali na konieczność przestawienia gospodarki na tory intensywnego rozwoju. Kiedy jednak zaczęto wdrażać w życie reformę gospodarczą, napotkała ona sprzeciw ze strony zwolenników metod nakazowo-administracyjnych i biurokratycznie myślącej nadbudowy. Na tym tle dochodziło do poważnych konfliktów ideologicznych i politycznych. Przez pewien czas problemy te nie były ujawniane na zewnątrz.

Andriej Kruszinskij, były korespondent „KOMMUNISTYCKIEJ PRAWDY”, powiedział z kolei: „Niewątpliwie, model, który wówczas, w latach sześćdziesiątych reformowano — pod wieloma względami był kopią radzieckiego systemu gospo-

darowania. Bardzo ostro krytykowano go w latach sześćdziesiątych, tyle, że coraz częściej własne błędy gospodarcze zaczęto zwać na Związek Radziecki”.

„Sprawiedliwość historyczna wymaga — stwierdził W. Kriwoszejew — aby przyznać, iż gospodarka czechosłowacka odegrała znaczącą rolę w okresie powojennym w odbudowie gospodarek wielu państw socjalistycznych...”. „To, że odeszła ona od swojej tradycyjnej struktury produkcji, z dobrze rozwiniętym przemysłem lekkim — dodał były korespondent „IZWIESTII” — podyktowane było potrzebami rozwoju gospodarczego całej wspólnoty socjalistycznej”.

Zdaniem radzieckich dziennikarzy, istotną rolę w rozwoju wydarzeń odegrały i inne czynniki. I tak — wspomina A. Kruszinskij — w przededniu wydarzeń sierpniowych, w prasie czechosłowackiej bardzo gorąco dyskutowano o naruszeniach praworządności socjalistycznej i o niewinnych ofiarach lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Co jest przy tym istotne — czy tego chcemy, czy nie — nadzycja władzy łączono ściśle ze stalinizmem. W tej sytuacji w pełni zrozumiałe prawo narodu do likwidacji deformacji i oczyszczenia, usiłowali wykorzystać przeciwnicy socjalizmu w swoich interesach, dalekich od prawdziwych potrzeb ludzi pracy. Jest przy tym faktem, iż kwestie związane z rehabilitacją osób, będących niewinnymi ofiarami — długo były w ogóle nie rozwiązywane. W efekcie zaczął się tworzyć obóz opozycji, w którym znaleźli się zarówno uczeni komuniści, jak i jawni wrogowie. Szczególnie ważne jest i to, że opozycja dostała wówczas do ręki argumenty dla dyskredytacji partii komunistycznej i całego rozwoju socjalistycznej Czechosłowacji po lutym 1948 r.

Aleksandr Didusenko, korespondent dziennika „TRUD”, wspomina: „Bezprzecnie były wówczas powody do niepokoju. Po plenum styczniowym KC KPCz w 1968 r., kiedy zmienione zostało kierownictwo partii, stopniowo, mniej więcej od marca — zaczęła rosnać aktywność sił pravicowych. Coraz

szerszej odbywały się swego rodzaju polowania na czarownice — na tych, którzy w różnych sprawach nie zgadzali się z przywódcami ideologicznymi „reformatorów...”. Z kolei odmowa ówczesnego kierownictwa partii udziału w spotkaniu warszawskim przywódców państw socjalistycznych (lipiec 1968 r.) wywołała w Czechosłowacji falę nacjonalizmu. Po tym spotkaniu niektórzy działacze polityczni w Pradze zaczęli zakładać możliwość zerwania ze wspólnotą socjalistyczną”.

W dyskusji, publikowanej przez „MOSKOWSKIE NOWOSTI”, podniesiono również problem swego rodzaju paternalizmu w stosunkach Związku Radzieckiego z Czechosłowacją i innymi krajami socjalistycznymi. Paternalizm ten — pisze tygodnik — wywodzi się z epoki stalinowskiej i opiera się na zasadzie absolutnej słuszności, mądrości i dalekowzroczności „starszego brata” z czego wynika żądanie, aby we wszystkim postępować zgodnie z jego przykładem. Tego rodzaju podejście — stwierdzają „MOSKOWSKIE NOWOSTI” — negatywnie wpłynęło na rozwój międzynarodowego ruchu komunistycznego i państw demokracji ludowej, powstałych po II wojnie światowej.

Mówi o tym W. Kriwoszejew: „Paternalizm ma dwie strony. Ktoś narzuca taki system stosunków, a ktoś, czy inni — albo go przyjmują i zgadzają się nań, albo odrzucają. Reforma gospodarcza podjęta w Czechosłowacji w latach 1965—68 powinna była doprowadzić do likwidacji poprzednich form stosunków. Problem polegał na tym, iż mechanizm gospodarczy, który wprowadzony był w Czechosłowacji wraz z reformą, opierał się na zasadach ekonomicznych, zmuszał przedsiębiorstwa czechosłowackie do poszukiwania najbardziej efektywnych powiązań gospodarczych. Były więc przypadki, kiedy przedsiębiorstwa, działające już w nowych warunkach — były zmuszone do rezygnacji z usług partnerów radzieckich... Mając prawo wolnego wyboru czechosłowaccy działacze gospodarczy zwracali więc uwagę na Zachód, co było dla nich bardziej opłacalne. Tymczasem niektó-

przebieg w organizacji i myślał o nauce dzieci.

Już 15 czerwca 1890 roku powstało w Kurytybie Towarzystwo Polskie im. Tadeusza Kościuszki (istniejące do dziś), wkrótce potem — im. Kazimierza Pułaskiego w São Mateus, w roku 1894 — Towarzystwo Polskie w Itaipolis. Dalsze zakładanie Towarzystw następuje z żywiołową siłą, wystarczy dodać, że w latach 1890—1900 powstało ich 35. Celem był rozwój oświaty, opieka nad nowo przybyłymi, pomoc w razie choroby, wspólna zabawa, sport; najważniejszym zaś — założenie i utrzymanie szkoły.

Pierwsza szkoła polska, oddana do użytku w roku 1876, czyli w zaledwie parę lat po osiedleniu się pierwszych emigrantów, kierował wspomniany uprzednio Hieronim Durski; w szkole zorganizowanej przez samych chłopów w São Mateus rozpoczęto nauczanie w roku 1892, prowadził je Feliks Krzyżanowski i Jan Kościński. Po roku 1900 zaczęło się od szkół polskich, powstawały one niemal przy każdej kolonii, gorzej było z siłami pedagogicznymi, bowiem lekcje prowadził każdy, kto umiał czytać i pisać. W roku 1902 w Kurytybie, liczącej wówczas około 2500 Polaków, istniały dwie szkoły polskie z 65 uczniami, zaś w 1937 — przedostatnim roku istnienia szkół — najmniejszej narodowych na terenie Brazylii — czynnych było 349 szkół polskich z 344 nauczycielami uczącymi 12 000 dzieci, przy czym w wielu pracowali polscy Księża Misjonarze i zakonnice z kraju.

„Szkoły polskie nie były jednak tak bardzo polskie” — wspomina Roman Wachowicz, pisarz i nauczyciel w południowych stanach. W Paranie, na przykład, w roku 1937 na 167 szkół polskich tylko w 10 uczono wyłącznie po polsku, w 143 — po polsku i portugalsku, zaś w 14 — wyłącznie po portugalsku.

rzy z naszej strony wyciągali wniosek, że jest to przejaw antysowietyzmu”.

Kolejny problem poruszony przez „MOSKOWSKIE NOWOSTI” w związku z rocznicą wydarzeń 1968 r. w Czechosłowacji to sprawa podobieństw między „prasą wiosną” i radziecką przebudową, często podnoszona w prasie zachodniej.

W Instytucie Gospodarki Światowego Systemu Socjalistycznego Akademii Nauk ZSRR — powiadził W. Kriwoszejew — dokonano niedawno analizy porównawczej reformy gospodarczej podjętej w Czechosłowacji w latach 1965—68 i obecnie przeprowadzanej w ZSRR. Porównując te dwa przedsięwzięcia — stwierdził — można mówić o pewnych zewnętrznych podobieństwach. Wyjaśnienie jest w tym przypadku proste: obie reformy opierają się na wspólnej zasadzie, tj. na przejściu na pełny rozrachunek gospodarczy, ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami. Są jednak i zasadnicze różnice. W latach sześćdziesiątych Czechosłowacja zamierzała reformować tylko swoją gospodarkę i reformą od razu napotkała sprzeciw sił konserwatywnych na różnych szczeblach kierownictwa. Stało się więc rzeczą jasną, iż nie można przebudować gospodarki bez reformy nadbudowy i radykalnych przeobrażeń w sferze społeczno-politycznej. W Związku Radzieckim to doświadczenie zostało już uwzględnione.

Pisząc o wydarzeniach 1968 r., relacjonując je na gorąco, radzieccy dziennikarze byli w bardzo trudnej sytuacji. Będąc świadkami narastających sprzeczności nie praktycznie nie mogli o nich napisać.

A. Didusenko wspomina, jak w lutym 1968 r. relacjonowali wizytę w Pradze Leonida Breżniewa: „Razem z Wasilijem Zurawskim podaliśmy do Breżniewa i zapytaliśmy: «Leonidzie Ilczu, co mamy robić, jak pisać?». Wówczas odpowiedział: «Prawdę». Potem pomyślał i dodał: «W jednym egzemplarzu». Potem jeszcze pomyślał i zakończył: «Piszcie na jego adres» — i pokazał palcem na swojego pomocnika.

„W nocy 21 sierpnia — kontynuuję swoje wspomnienia A. Didusenko — obudziliśmy się od ciągłego hałasu samolotów. Wcześniej byłem na manewrach i tam, dokładnie w taki sam sposób słychać było samoloty podchodzące do lądowania i dwiczące zajęcie lotniska i wysatzenie desantu. Na ulice wybiegały na pół ubrane kobiety. Nikt nie mógł zrozumieć, co się dzieje”.

Dziennikarze przypomnieli dalej, jak wiele było wówczas w prasie radzieckiej — świadomych i nieświadomych — przekroczeń. Najtrudniej było oczywiście korespondentom, którzy otrzymywali z góry polecenia, jak pisać. Nie wszystkim udało się uchronić przed tendencyjnością. Było np. dwóch korespondentów — powiedział

Na szczególną uwagę zasługują dwie szkoły ponadpodstawowe. W roku 1911 w Marechal Maillet, w stanie Parana, powstała pierwsze gimnazjum polskie im. Mikołaja Kopernika o profilu szkółki zawodowej w zakresie handlu i rolnictwa, które istniało 30 lat i dało Brazylii wielu absolwentów pochodzenia polskiego, uczestniczących aktywnie w życiu gospodarczym i społecznym kraju. W roku 1923 powołano do życia polską szkołę średnią w Kurytybie, tzw. Kolegium im. Henryka Sienkiewicza, przodującą placówkę w polskim szkolnictwie. Dążono w niej do wychowania „Polaka brazylijskiego”, który zachowałby duchową więź z krajem ojców, a zarazem aktywnie uczestniczył w brazylijskiej rzeczywistości. W tym celu wprowadzono w ostatnich latach istnienia język portugalski jako wykładowy, z wyjątkiem lekcji języka polskiego, historii i geografii Polski, Kolegium im. Henryka Sienkiewicza istniało 15 lat, ukończyło je prawie 300 osób.

Ważnym przejawem działalności osadników polskich była prasa. Pierwszy periodyk, tygodnik pod nazwą „Gazeta Polska w Brazylii”, ukazał się 14 października 1902 roku, staraniem Karola Szulca z Poznania, i wychodził nieprzerwanie przez pół wieku. „Prawda Polska w Brazylii” — przez 12 lat, a „Polak w Brazylii” — przez 15, po czym w roku 1920 przejęty został przez Księża Misjonarzy i jako dwutygodnik pod nazwą „Lud” ukazuje się do chwili obecnej. Łącznie — od 1892 roku wychodziło w Brazylii 65 miesięczników i 25 tygodników polskich, przy czym żywot niektórych był krótki, trwał tylko parę miesięcy.

Wieloletni wysiłek emigracji w zakresie szkolnictwa, prasy i działalności organizacji społecznych przerwały dekrety prezydenta Getulio Vargasa w 1938 roku. Kryzys ekonomiczny Brazylii, spowodowany spadkiem cen kawy na rynku światowym, wykorzystany został przy wyborach prezydenckich, Var-

gas, nie mogąc być wybranym po raz drugi, zdecydował się na zamach stanu i podejmując rozliczne działania w celu uzdrowienia sytuacji gospodarczej, poświęcił też mniejszości narodowe w imię wielkości kraju i wzrostu jego siły. W prasie, radio i oficjalnych wystąpieniach rozpoczęto kampanię: „nie pozwolimy w przyszłości, żeby cudzoziemcy mieszkający u nas przekazywali rzeskończenie swym pokoleniom, zrodzonym tutaj i z tej racji Brazylianom z urodzenia, język swej ojczyzny, swe zwyczaje i w końcu uczucia swej nacji” — jak pisano w dzienniku „O Dia” „Goście są wrogami” — powtarzała prasa brazylijska.

Życie społeczne narodowości zamieszkujących Brazylię zamarło; przestała ukazywać się prasa, zabroniono nawet wygłaszania kazań w językach innych niż portugalski. Posunięcia te oceniane były różnie — jako wpływ prądów totalitarnych, a także jako niezdrowy nacjonalizm. Dla Polaków oznaczać to miało jedno — tego milczenia języka polskiego od 1938 do 1945 roku, tj. do końca drugiej kadencji prezydenta Vargasa, nie dało się już odrobić w przyszłości. Następny prezydent, Eurico Dutra (1946—1950), nie zniósł ustawy nacjonalizacyjnej, tak więc nie reaktwowano działalności organizacji i szkół — nie przejętych przez kilkadziesiąt lat przez władze brazylijskie. Potomkowie emigrantów polskich zaczęli przez to coraz silniej wstąpić w język portugalski, kulturę i obyczaje.

Wybuch II wojny światowej był dla Polonii brazylijskiej wstrząsem. Od pierwszych dni wrześniowych organizowano pomoc dla ofiar, a na apel generała Sikorskiego powstał oddział ochotników; wielu żołnierzy pochodzenia polskiego walczyło też w brazylijskim korpusie ekspedycyjnym we Włoszech. Emigracja tego okresu nie była liczna, zaledwie 3 000 osób znalazło się w Brazylii na początku wojny, przy

czym większość wyjechała następnie do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Po roku 1945 przybyło do Brazylii około 8 000 Polaków, głównie żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy w większości osiedlili się w miastach.

Obecnie Brazylię zamieszkuje 2 200 000 osób pochodzenia polskiego; w Paranie 850 000, w Santa Catarina 400 000, w Rio Grande do Sul 800 000, reszta rozprzeczona jest w całym kraju. Potomkowie Polaków ze starej emigracji zajmują się przede wszystkim rolnictwem, ci z nowej — rzemiosłem i handlem.

Obie emigracje dały wielu lekarzy, adwokatów, przemysłowców, wybitnych naukowców, ludzi biorących żywy udział w społecznym i politycznym życiu kraju. Niemal na każdej stronie książki telefonicznej Kurytyby, Porto Alegre, São Paulo i Rio de Janeiro widnieją nazwiska polskie, a noszący je ludzie przechodzą w domu „kawalek” Polski: portret Kościuszki na ścianie czy pasiak łowicki, starą fotografię lub płytę „Mazowsza”. Spotykają się w kościołach, gdzie słuchają kazań wygłaszanych w języku polskim, i w licznych klubach. Spośród wielu organizacji istniejących w Brazylii najprężniej działa „União Juventus” w Kurytybie, liczący 90 lat. Dumą jego 5500 członków jest zespół taneczny, wspólnie prezentujący na terenie całego kraju polski folklor. O dużym zainteresowaniu Polką przez kolejne pokolenia emigracji świadczy zorganizowany w 1988 roku lektorat języka polskiego na Uniwersytecie Federalnym w Paranie, wyjazdy do kraju, prenumerowanie polskiej prasy.

Będąc pełnoprawnymi obywatelami kraju, który dał im miejsce na ziemi w trudnych latach niewoli i wojny, Polacy brazylijscy dają świadectwo hasła: „wierność Brazylii i pielęgnowanie związków z Macierzą”.

Wasilij Zurawskij — jeden w Pradze, a drugi w Bratysławie, których korespondencje często ukazywały się w prasie centralnej w tamtych sierpniowych dniach. Były one następnie przedrukowywane w czechosłowackich pismach satyrycznych — bez żadnego komentarza, poprawek i uwag. Pomagały one w tworzeniu antyradzieckich nastrojów u Czechów i Słowaków.

„A oto wnioski, jakie zdaniem radzieckich korespondentów należałoby wyciągnąć z wydarzeń 1968 r. w Czechosłowacji:

Michał Polakow, współpracownik pisma „PROBLEMY POKOJU I SOCJALIZMU”: „W tamtych latach po raz pierwszy tak ostro postawiony został problem roli partii w społeczeństwie. Kwestię tę musimy rozwiązać i umocnić znaczenie zasady, iż swoje prawo do bycia kierowniczą siłą w społeczeństwie partia musi udowodnić czynem. Poza tym nie można dopuścić do naradzin niebezpiecznych iluzji, iż przy pomocy siły militarnej można rozwiązać problemy polityczne innego narodu. Historia nie wybacza niewłaściwych kroków”.

Władimir Łukin („PROBLEMY POKOJU I SOCJALIZMU”): „Po wydarzeniach 1968 r. w zachodnich publikacjach mówiono o tzw. doktrynie Breżniewa. Takiej «doktryny» — przemysłowej i sformułowanej — nie było. W stosunkach wzajemnych między krajami socjalistycznymi nie może jednak dochodzić do sytuacji, kiedy ktoś zawłaszcza sobie prawo decydowania za innych. Jest to niedopuszczalne. Poszanowanie tej zasady jest najlepszą gwarancją, że wydarzenia 1968 r. z których wszyscy ich uczestnicy wyciągnęli już poważne wnioski — nie powtórzą się”.

W. Kriwoszejew: „Jeden z najważniejszych wniosków został sformułowany w programie działań zgodnych z nowym myśleniem politycznym. Jest to zasada swobody wyboru drogi”.

A. Didusenko: „Polityka oderwana od principów może dać tylko krótkotrwały sukces. Na dłuższą metę jest ona zgubna dla wszystkich, w tym również dla tych którzy ją stosują. W pełnej mierze odnosi się to także do prasy”.

W. Zurawskij: „...w 1968 r. społeczeństwo radzieckie mogło sądzić o działaniach swojego kierownictwa tylko na podstawie tych wyjaśnień, które dawało samo kierownictwo. Prasa jest jednak w stanie dać obywatelom i kierownictwu informację potrzebną do analizy i podjęcia decyzji”.

A. Kruszynskij: „Dalszy bieg wydarzeń potwierdził przywiązanie Czechów i Słowaków do wybranej przez siebie drogi rozwoju socjalistycznego”.

Pogrzeb Chruszczowa

Na łamach tygodnika „Ogoniok” ukazała się relacja doktora nauk historycznych, Georgija Flodorowa, z pogrzebu N. S. Chruszczowa. Autor pisze, że oficjalny komunikat o śmierci Chruszczowa opublikowano dopiero w dniu pogrzebu.

„Gdy podchodziliśmy do cmentarza (chodzi o Cmentarz Nowodziewiczji), zdumiała nas wielka liczba żołnierzy. [...] Przy zewnętrznych kordonie gromadzili się ludzie, których nie wpuszczono dalej. Co jakiś czas ktoś z nich próbował ominąć kordon, ale dość brutalnie odpychano go”.

Fiodorowowi udało się ostatecznie znaleźć przed zamkniętą bramą cmentarza, na murze wisiała kartka: „Cmentarz nieczynny. Dzień sanitarny”. „Co chwila — wspomina — jakiś zagraniczny korespondent stukał do furtki i wykrzykiwał nazwę swojego pisma. Wpuszczano go, po czym furtka znów zamykała się. Przy bramie było z piętnaście osób takich, jak ja z żoną. [...] Przystaliśmy przepuszczać korespondentów. Ci krzykali, ale nie ustępowałyśmy. Przybieł jakiś generał, pytając, co to za hałas. Ktoś odpowiedział: «Jak to? Przyszliśmy na pogrzeb, a nie wpuszczają nas». Generał zastukał w furtkę. Gdy otwarto rozkazał: «Natychmiast wszystkich wpuścić». Ludzi było niedużo. Około sześćdziesięciu korespondentów, chyba tylko zagranicznych. [...] Terkotały kamery. [...] Poza tym było ze dwadzieścia osób, a wśród nich kilkoro przyjaciół i znajomych. Na twarzach wielu ludzi widać było, że wiele wycierpieli. Myślę, że byli to w przeszłości represjonowani. [...] Siedemdziesięcioletni Nikita Chruszczow leżał w trumnie otoczonej wieńcami i kwiatami. Jego twarz była tak pełna wyrazu i spokoju, jak kiedyś w gazetach, kinie i telewizji. [...] Obok stała rodzina, m.in. żona Chruszczowa. [...] Jej twarz, prosta i szczerą, przyciągała uwagę, była mokra od łez. [...] Przemówił jakiś człowiek [...], nie słyszałem jego słów. [...] Potem wystąpił Sergiej Nikitowicz. [...] Powiedział, że jego ojciec przez wiele lat zajmował wysokie stanowiska partyjne i państwowe. Ocena jego działalności należy do historii. On zaś może powiedzieć, że był wspaniałym, kochającym, mężem i ojcem. Później przemówiła stara kobieta [...]: «Pracowałam z Nikitą Sergiejewiczem od 1926 roku i była to udana współpraca. W 1937 r. zostałam aresztowana, trzymano mnie w więzieniu, a potem w obozie i dopiero po XX Zjeździe uwolniono i zrehabilitowano. W imieniu milionów ludzi, niewinnie zamęczonych w obozach i więzieniach, ludzi, którym ty, Nikito Sergiejewiczu, przywróciłeś dobre imię, w imieniu bliskich i przyjaciół, w imieniu setek tysięcy, których uwolniłeś z więzień, wyrażam ci naszą wdzięczność i nisko ci się klaniam [...]». Potem nadzorca w cywili (ale widać było, że to wojskowy) polecił: «Proszę pożegnać się ze zmarłym. Ale szybko, proszę nie zatrzymywać się. [...] Na jednym z wieńców zauważyłem szarfę z napisem «NIKITIE SERGIEJEWICZOWI CHRUSZCZOWOWI OD A. I. MIKOJANA». [...] Wkrótce potem zauważyłem, jak trumna zostaje popiesznie spuszczone do grobu. [...] Poszliśmy do wyjścia. Za bramą wciąż stały kordony porządkowe, a tłum na zewnątrz był jeszcze większy. Widocznie obawiano się ekscesów w związku z pogrzebem. [...] Jako wysoki dostojnik, Chruszczow powinien być pochowany przy murze kremlińskim. Ale ci, którzy rozporządzali jego losem i po śmierci, uznali, że nie jest tego godzien”.

KONTAKTY

BOGDAN P. z „Instalu” lubi głośną muzykę. Jego koledzy z pokoju — też, ale mieszkający za ścianą Broniek muzyki nie lubi, a zwłaszcza najpopularniejszego na pasiolku utworu:

„A gdy przyjdzie ta niedziela, wszyscy piją jak cholera”.

Skrani miasta: bagno, komary, las. Na jako tako zasypanej piaskiem topieli, otoczony drutami, pasiołek — baza socjalna „Energopolu” w Briańsku, czyli budynek recepcji i dwadzieścia kilka baraków. Przy bramie budka cieciorów i szlaban-granica.

O 16.10 na pasiołek wjeżdża autobus. Wysypują się z niego „psychiczni” z „derekacji”. Fizyczną ciagną na piechotę błotnista droga w swoich szaroburzych kufajkach, umalowanych wapnem i cementem. Wszyscy spieszą na obiad. Łaczy ich na moment stolówka, wszystko inne — dzieli.

W drzwiach recepcji, w lekkim rozkroku, stoi szef bazy socjalnej, pan

Andrzeja, więc mało kto w pełni kontaktuje. A ozorki same rozlażą się na talerzu. Przewodniczący zespołu ds. socjalno-bytowych, Andrzej T., pokazuje kierownicze stolówki. Barbarze K., jak pracownicy odstawiają z obzwożeniem całe porcje do zrywaka.

— Ozorki są bardzo dobre. Sama też jadłam.

Na zapleczu stolówki pojemniki na odpadki nie mieszczą zlewki, które pokryły ziemię. Używanie ma tylko sfera psów.

Wieczorem największe wzięcie na pasiolku mają wychodki. Jeden pracownik popędza drugiego, niemowo szamocząc za kłamkę. Janek K., ksywka „Cwe”, nie wraca do pokoju. Na wszelki wypadek jeszcze raz ustawia się w kolejce do „tronu”.

— Coś musi, sukiny. Dodawać do żarcia, bo goni mnie co trzeci dzień.

Innych też goni, ale gryzą się w język. Ściany wychodka też mają uszy.

— Powiedział, że narządza do pracy powinien dostać na budowie, a nie przywozić własne z kraju. I mówił, że nie będzie zostawał po godzinach, skoro jest balagan organizacyjny na budowie.

Zachłystując się od szczerego, zdecydowanego śmiechu pan kierownik skanduje: — Chcę o nim wszystko wiedzieć!

W drzwiach baraku wychodzący od pana kierownika chłopak mija się z następnym pracownikiem, spieszącym na szczerą, przyjacielską rozmowę z przełożonym, który szczyt się wśród innych kierowników jednostek podwykonawczych tym, że zawsze i o każdej porze znajduje czas dla swoich podwładnych.

EKSPOKT. „Zaliczyć eksport” to mieć w łóżku przynajmniej dwie briańszczanki. Dawniej wystarczyła jedna, ale inflacja dotarła również do sfery uczuć. Ostatecznie może być Polka z eksportu, ale to nie to samo, co rzymskie dziewczyny. W Briańsku jest 600 „energopolowców”; mało kto nie „zalicza eksportu”.

Nawet najbardziej zakompleksiony czy szpetny facet staje się dandysem na „eksportie”. Mając atrakcyjne prezenty — cienie do powiek, kolorowe

nić bazy socjalnej, robiący obchód z walcurem, nie odważy się wejść do każdego baraku.

Wódka jest dobra, smaczna, kochana. Przy niej zapomina się o kłopotach. Każdy staje się ponownie człowiekiem, którym żaden palant kierownik (w kraju będący zaledwie brygadziśią, zaopatrzeniowcem, czasami majstrem) nie będzie pomiatał. Z fizycznym na równi piją roboty-inżynierowie, którzy zataili tytuły, byleby tylko wyjechać na kontrakt i pomachać lopatą.

Z protokołu narady z kadra kierowniczą budowy: „Notuje się dużą urazowość wypadkową w czasie pracy. Przyczyna: wadliwa kwalifikacja w kraju, zbyt wysoka średnia wieku pracowników, nadużywanie alkoholu”.

— Bogatemu wszystko wolno! — wrzeszczy na całe gardło Andrzej M., rozsypując po pokoju teatralnym gestem plik banknotów. Jest tego z pięćset rubli.

— Oj! Kalk mnoga diemiej! — Wiera aż dostaje wypieków. Jej pensja sięga 98 rubli miesięcznie.

MLOTY. Tak pogardliwie zalogą nazywa sprzątaczkę, które urządniczyły w kraju za grosze, a tu zarabiają pięć razy tyle.

Romualda W. bardzo lubi poniedziałki (szczególnie po popularnych śmieninach) oraz dni przyjazdu i wyjazdu „rozłajki” do kraju. Wtedy dopiero można się obkwić w „kryształ”. Bywa, że i sto flaszek uzbiera. W punkcie skuou dają za to 20 rubli. Zeby sprzątać w najbardziej wodopólnych barakach, trzeba się przypodobać „Carycy”.

— Jak się podpadnie — zali się po cichutku — ześlą człowieka do baraków „psychicznych”. A ci mimo że zarabiają dwa razy tyle co my i od rana do wieczora pierdzą w stolki, specjalnie kancerują szyjki butelek.

Poniedziałek jest dobry tylko finansowo, bo roboty od groma: zarzygane korytarze i ściany, zapchane muszle klozetowe, zafajdane kratki pod prysznicami, pourywane krany. Smród i pobjowjisko.

— No, cóż — wdycha Romka — nic darmo. Ale dlaczego te sukiny fajdają pod prysznic? U nas, w Pozańskiem, byłoby to nie do pomyslenia.

NACENKA. Czynniki oficjalne nazywają to spekulacją. Ale bez narzutu nie ma handlu. Chcesz kupić w Briańsku olejek? Daj kilka rubli więcej. Teraz nawet dziecko wie: nie biorą tylko ryby.

Najlepiej handlują w baraku „Czeladzi”. Zeby sprzedać, trzeba warować w pokoju całymi dniami. Do kina, do parku, na spacer, na relaks do sali gimnastycznej chodzą tylko durnie.

Adidasy za które właściciel chce 45 rubli, kosztowały na bazarze 2200 zł; 45 rubli to gram złota, a gram złota to 10—15 tys. złotych. Pieniądz robi pieniądz.

PRZEBITKA to główny cel „eksportu”. O dobrą przebitkę codziennie modli się zarłowie i kierownik, i cieć, i „Miotła”. O przebitkę rozmawia się wszędzie: przy gołeniu, w pracy, przy obiedzie, w pokojach, w wychodku. Taka przebitka, jakiej nie ma nikt inny, ścią się każdemu w nocy.

— Zaczem wam tak mnoga wieszczę? U was w Polsce etawo niet? — prowadnica wagonu w pociągu specjalnym, jadącym do kraju, pyta faceta dźwigającego wiązankę 50 składowanych kos. Ale ten nie odpowiada.

Co będzie tłumaczył zielonej dziewczynie, że za kosy wartości 4 ruble każda weźmie w kraju od zainteresowanych po 3000 zł. To jest przebitka!

Jacek M. ma tylko torbę podróżną za szczołeczką do zębów i ręcznikiem w portfelu, na odczepnego dla celników, 5 sztuk złota. Spokojnie wyciąga się na swojej półce. Wie, że do niego przyjdą koledzy po prośbie.

— Jacuś, weź przez granicę jedną moją obrabotkę — prosi kolega. Zgadza się, ale za pół litra po powrocie. Tu obowiązuje zasada coś za coś.

„Wszyscy piją jak cholera”

Artur M. Nadolski

Zygmunt. Ma kamienną twarz, przenikliwe spojrzenie. Obok niego waruje szary wilczur.

— Dzień dobry, panie kierowniku — rece fizycznych automatycznie sięgają do czapek. Przylepione do twarzy przywiazne uśmiechy gasną dwa kroki dalej.

W stolówce nowo zatrudniony ma drusa wpadkę: siada przy pierwszym stole. Nie pisany zastępca kierownika budowy. Ryszard L., zwany potocznie dla zaspokojenia jego wybujałych ambicji „panem dyrektorem”, mierzy intruza stalowym spojrzeniem. Ten stół jest dla czterech „pierwszych”, a tu sadowi dupe jakiś robot!

— Masz przeji... do końca kontraktu — nie bez złośliwego zadowolenia informują pachowca koledzy z baraku, gdy nachawszy żarciem brzuchy zalezają na wytkach.

Nowy wyciąga pierwsze pół litra.

— Zapamiętaj, palancie — tłumacza udobruchani koledzy. — Tutaj jesteś nikim. Twoim panem i władcą jest kierownik, który zawsze ma rację. Ty masz zap... wszystko, co by ci nie każał, i morderce w kubel. A jeśli ci się coś nie spodoba, to powiedz, a spuszczą ci dyscyplinarnie do kraju w 24 godziny. Tu nikt nie stanie w twojej obronie, bo, jak mówią kierownicy, to jest eksport!

Waldek K. klepie nowego po plecach aż dudni: — Rok nie wyrok. Posiedzisz, zamrzedziesz. Najważniejsze to nie podpaść i przetrwać. Wszak przyjechałeś tutaj po bony i pierściony dla żony. Więc główkuj i ucz się eksportowego alfabetu jak pacierza. Na przykład: co znaczy litera „O”?

Nowy siada do stolka po ogórek. — Nie! — Waldek krzywi się z politowaniem — „O” to znaczy: „Obiad zjedzony, dzień zaliczony, a konto do rzodu”.

ABY DO JUTRA. To filozofia, ewangelia posiadacza.

BIEGUNKA. Przy drzwiach stolówki smród jest jeszcze znośny. Przy ładzie, gdzie kucharze wydała żarcie, robi się czwolielowi niedobrze. Ale wczoraj były imieniny

„Psychicznych” szczęśliwym trafem bieżunka nie wzięła. A i pracownicy stolówki też wszyscy zdrowi. Zachorowali jedynie fizyczni i zdechły trzy psy.

CHLOPI-ROBOTNICY. W kawiarni klubu „Polonia” są co prawda szklanki, ale naród zwykł pić „z gwinta”. Napitki gulgoczą w przełykach, głaszając magnetofonową muzykę. Maciek K., jedyny pijący ze szklanki, pokazuje koledze artykuł w trzymanej w rękach „Polityce”: — Patrz, piszą o nas! O „energopolowcach” w ZSRR. „Ludzie [...] są prześiani przez firmy delegujące. Fachowcy dokładnie takich specjalności, jak potrzeba”.

„Fachowcy” codziennie prowadzą po barakach nocne Polaków rozmowy. W dwudziestu kampaniach temat jeden i ten sam, walcowany na okrągło, dostosowany odwiecznym zegarem natury do dóbr roku. Wiosna mówi się o siewach, latem o żniwach, jesienią o podorywkach, zimą o zakupie maszyn rolniczych i cenach na produkty rolne, o krowach, trzosiakach i kartoflach.

— Wstrzymwali mi nozajkę — narzeka Tadek K., murarz — a rodzice nie zbiorą sami rzenaku. Co robić?

— Nie wiesz?! Niech ci przysła telegram, że zmarła matka, to pojedziesz. A jak będziesz chciał przedłużyć, to daj komu trzeba kawę i szampanskie. A będziesz miał zwolnienie lekarskie — radzi Mirek L., cieśla.

Aż 70 proc. briańskich „energopolowców” to ludzie z wiosek lubelskich i rzeszowskich, 25 proc. pochodzi z Kieleckiego. To ostatni mężczyźni, jacy się jeszcze po wsiach ostali. Co tydzień wysyłane przez nich do kraju listy zawierają polecenia, ile dać karmy, co nosić, co i za ile sprzedać.

DONOS. Pan kierownik siedzi za biurkiem. Nawet mu się nie chce podnieść wzroku. Lekko stukta długopisem w kartkę w brulajnie. W lewym górnym rogu widnieje nazwisko nowo zatrudnionego, a przy drzwiach stoi jego kolega z pokoju. — Mądrałuje cały czas. Nie podoba mu się, że robi w niedzielę i po dziesięć godzin. Narzeka na obiady.

— Co jeszcze?! Szybciej! Nie mam czasu!

rajstopy, bluzki z Pewexu — przebie każdego briańskiego kawalera. W listach do żon powtarza się motyw: „Kochana! Niestety, tę bluzkę, co miałem ją sprzedać i kupić za to pierścionek dla ciebie, zabrali mi celnicy”. Gorzej, gdy na żonę w Polsce spada jak grom z jasnego nieba list-anonim: „Twój mąż bzi się z jedną taką. Zyczliwy”.

Zyczliwych jest na pasiolku bardzo wielu.

HOTEL. Kierowniczką hotelu jest pani Halina J. — „Caryca”. Raz na dwa tygodnie przeprowadza wymianę pościeli. Jej głos, mimo że pasiołek ma pół kilometra długości, słychać wszędzie.

— Czemu ta pościel jest zakrwawiona? Znow kroiliście się nożami? A może jeszcze połamaliście krzesła?

— Płuskiwy są w baraku i gryzą — rzuca ktoś z koleżki.

— Bo przywieźliście je z kraju!

KSIĄZKI. Fenomen czytelnictwa książek na pasiolku zawiera się w tym, że biblioteka liczy tylko 250 pozycji, a książka czyta cała załoga codziennie — przynajmniej po jednej „na twarz”. „Czytać książki” znaczy: pić wódkę. Nowelka to butelka 0,35 l, książka — flaszka „pómetrowa”. Ale z reguły nikt poniżej trylogii nie schodzi za jednym posiedzeniem. „A gdy przyjdzie ta niedziela, wszyscy piją jak cholera” — słowa pasiolkowego hymnu odbijają się od ściany lasu i docierają do Moskiewskiego Prospektu.

— Paliaki maładcy! — z uznaniem kiwa głową stojący na przystanku autobusowym briańszczanin z siatką wypełnioną butelkami cieniutkiego piwa. — Da, u nich diemiej mnoga, tak i mogut pokupit skolka ugodno.

Flaszka kosztuje w sklepie 9 rubli i parę kopiejek. Przed czterema sklepami monopolowymi w półmilionowym Briańsku gigantyczne kolejki. Wódki niewiele. A u Polaków zawsze jest. Bo Polak potrafi. Jak się nie ma „książki” za cenę państwową, to się kupi w „peweksie”, czyli w melinie. Wystarczy dać 15 rubli i flaszka się znajdzie. A bimbru ile: waderko, dwa? Z soboty na niedzielę nawet kierow-

Prawdziwa arystokracja eksportowa skupuje od Rosjan dolary. To jest dopiero przebiecie!

— Po co panu pięćset par klipów?

— Ironicznie pyta celnik Sylwka T.

— Na prezenty. Mam sporo znajomych i koleżanek. — I on, i celnik wie, że te klipy to 1500 rubli. Fortuna.

ROBOTA. Polacy budują w Briansku bazę remontową dla gazociągowych urządzeń i osiedle mieszkaniowe. Baza kuleje. Mieszkańców mocno utyka. Półtora roku nie ma dostawy stolarki okiennej — nie można wejść z wykończoną. Od roku brak płyt stropowych. Nowo wznoszony budynek, a raczej tylko ściany z przepaścią w środku, jest światowym kuriozum budowlano-bhp-owskim.

Koordinator robót budowlanych, zwany „panem dyrektorem”, sięga po telefon. Kierownik mieszkaniówki myśli, że zadzwoni z interwencją do radzieckich dostawców po płyty stropowe.

— Baza socjalna? No, co jest? Już dziesiąta, a nie ma jeszcze na moim biurku gazet! Natychmiast przywieź! Rozumiemy się!

Na gazety czeka zresztą cała załoga. Kolumny z ogłoszeniami wyrwane są dosłownie z rąk. Po numerach podanych telefonów w „Kurierze Lubelskim” „psychiczni” rozszyfrowują się nawzajem, co kto ma do upłynięcia. Równie pasjonującą każdego rubryką jest tabela przeciętnych kursów walutowych, wszak pod tym kątem robi się zakupy.

Jesienne słońce przypieka. Robotnicy kręcą się po placu. Przekładają cegły z jednej przymy na inną, bo w końcu w coś trzeba wbić ręce. Rosnie stos pięknie ułożonego kłosa. Ale plan trzeszczy w szwach. Murarzom chcą wstrzymać premie, bo nie murują.

— Jak mamy murować, skoro nie ma cementu od kilku miesięcy — nie wytrzyma Czesiek M.

Mówi przysię, z kraju. Po jakich kosztach — nikt nie pyta.

SPOŁECZNE PRACE. Huk siekier. Trzask walących się drzew. Polacy wycinają las na konstrukcję plotków na pasiolku. Naraz jedno drzewo opiera się o linię wysokiego napięcia. Następuje seria gwałtownych śpięć. Ogień. Szczęściem nikt nie zginął. Stało tylko kilkanaście dużych zakładów przemysłowych w Briansku. Afera na całe miasto.

Pan kierownik bazy K, przechadza się wolno alejkami pasiolka z wilczurami przy nodze. Społecznicy wnoszą plotki. Chcesz zaprosić rodzinę na pasiołek — zbuduj 20 metrów plotu.

TY... Demokracja życia społecznego dotarła również na budowy eksportowe. W dobrym tonie jest, gdy kierownik zwraca się do podwładnych bezceremonialnie „ty”, a podwładny mówi wyłącznie „panie kierowniku”.

ZJAZD. Koniec kontraktu. Kierownicy starają się nie spotykać z pracownikami. Jeden się zagadną: — Ty szubrawcu, bydlaku! Teraz możesz mi skoczyć, o, tu — pijany robotnik pokazuje odpowiednią część ciała. Przysłuchujący się temu koleś marzą o podobnej chwili szczęścia i satysfakcji.

Przed zjazdem trzeba się zabawić i popić. Ostatni raz — do oporu. Atmosfera w dyskotekę klubu „Polonia” gęsta od oparów wódki, 100—150 podpiętych samców i kilkanaście briańskich krasawic, usiłuje tańczyć. Koszkie dyskoteki tradycyjnie wieńczy utwór „Daj mi tę noc”.

W barakach jak w ulu. Z okien wyrzuwają puste butelki. Ktoś śpiewa przy akompaniamencie gitary:

„Wieczór, noca, ranek cały śpiewy, wrzaski, bagno w gębach, Łaż w strojach swych niedbanych Chamstwo ich już szczytów sięga.

Józek stracił umiar wszelki Pił jak huzar, tęga głowa.

Dziś w szpitalu leczy nerki

Z miesiąca będzie nam chorował”.

Rozkoszniczki. Tutaj sobą czuć się mogą...

Reportaż wyróżniony w konkursie „To się w głowie nie mieści”.

Jak nie zrobiłem wywiadu z panią Aspidarte, czyli różnica między dziennikarzami polskimi a innymi

NIEDAWNO „Kamena” zamieszczała cykl wywiadów z korespondentami zagranicznymi akredytowanymi w Polsce. Realizacja tego przedsięwzięcia jest tyleż frapująca zawodowo, co i obfitująca w ciekawe spostrzeżenia natury ogólnej. „Jastrzębie”, wypisujące twarde teksty o naszej rzeczywistości, okazywały się gołębiami, wypowiadając się dla oficjalnej polskiej prasy; kilku zagadniętych odmówiło zwierzeń (i w porządku, to przecież ich prawo); najciekawszym wszakże przeżyciem okazała się próba rozmowy z panią Aspidarte, przedstawicielką Hiszpańskiej Agencji Prasowej, czołową polemistką na konferencjach ministra Urbana.

Już przy rozmowie wstępnej wyraziła ona zastrzeżenie, iż zgodę na wywiad uzależnia od poziomu przedstawionych jej pytań. Udałem się więc do Warszawy, przestudiowałem pilnie sporo materiałów dotyczących spraw społecznej Hiszpanii, mając także w pamięci szacunek dla tego narodu, wyniesiony z młodzieńczych czytelniczych fascynacji. Pani Aspidarte wyznaczyła mi spotkanie w barku kawowym hotelu „Wera”. Już przez telefon jej głos brzmiał dziwnie lodowato. Będąc z natury człowiekiem grzecznym przetrzymałem pierwszą burzę naszego spotkania. Zostałem poproszony o wylegitymowanie się. Moją legitymację służbową oglądała pani Aspidarte nader uważnie. Szorstko odmówiła wypicia jakiegokolwiek „drinka pokoju” i zażądała okazania

pytań. Moje pytania brzmiały:

1. Proszę pani, Hiszpania przeżyła czterdzieści lat pod rządami generała Franco i była bliska ekonomicznego krachu. Przejście od faszyzmu do stabilnej demokracji też nie było łatwe. A jednak dzisiaj tempo rozwoju gospodarczego Hiszpanii jest dwukrotnie wyższe niż w innych krajach EWG, dochód narodowy wzrósł w ubiegłym roku o 5,2 proc., w 1987 roku Hiszpanie kupili 927 tysięcy samochodów, inflacja utrzymuje się na poziomie umiarkowanym, a eksport zwiększył się o 25 proc. Jak to się robi?

2. Pozostaje wszakże problem bezrobocia. Trzy miliony Hiszpanów poszukuje pracy, a tylko trzecia część spośród nich otrzymuje zasiłki.

3. Co jeszcze, oprócz bezrobocia, hamuje, pani zdaniem, szybki marsz Hiszpanii ku nowoczesnemu, sprawnie zarządzanemu państwu? Jak do tej chwili cybernetycznej nowoczesności ma się hiszpańskie przywiązanie do tradycji, dysponujący wciąż niemalymi wpływami Kościół katolicki ze swoją przestarzałą doktryną, problemy narodowościowe?

4. Portret Hiszpana (wykreowany głównie z pomocą literatury), jako człowieka małoświadomego, wierzącego w demagogię, dumnego i odważnego, zyskał sobie w Polsce niemalże uznanie. A jak przeciętny Hiszpan wyobraża sobie mieszkańca kraju nad Wisłą? Jak widzi on Polskę?

5. Jak pani, jako hiszpański dziennikarz, stara

Wiesław Horabik

się ten obraz modyfikować? Co stanowi, pani zdaniem, najbardziej charakterystyczną cechę polskiej rzeczywistości? Jak rozumie pani „polską duszę”?

6. Do dziennikarstwa trafia coraz więcej kobiet; profesja ta wymaga jednak ustawicznego przemieszczenia się, pośpiechu, walki ze stresem. Czy lubi pani swój zawód i jak widzi pani w nim rolę kobiety? Na czym polega specyficzny, damski wkład w żurnalistykę?

7. Co sądzi pani o Polakach? Ich aspiracjach, miejscu w społeczeństwie, zachowaniach?

8. Gdyby poproszono panią o scharakteryzowanie Polski za pomocą trzech słów, jakie wyrazy przyszyłyby pani automatycznie na myśl?

9. Na konferencjach prasowych ministra Urbana prezentuje pani postawę „walczącą”, atakującą. Czy jest pani zwolenniczką dziennikarstwa „agresywnego”? Jak odbiera pani te wtorkowe spotkania?

10. Jakie miejsce w hiszpańskiej prasie zajmuje gazeta, którą pani reprezentuje i jakie są pani pozazawodowe pasje?

Pierwsze osiem pytań zostało przestudiowanych w chłodnym milczeniu; burza rozpułtała się przy dziewiątym. — Jak to „agresywna”, jak to „walcząca”? — wykrzykiwała moja interlokutorka. — Jak pan śmie skierować do mnie takie pytanie! My jesteśmy po prostu dziennikarzami i demagamy się tylko odpowiedź na nasze pytania! To na tym polega właśnie różnica między nami i wami! A poza tym, jest pan źle poinformowany, ja nie pracuję w gazecie, ja pra-

cuje dla agencji prasowej! Z trudem opanowywałem się, by nie posłać całej sprawy do diabła. Zjeździłem wiele krajów rozmawiając z wieloma dziennikarzami, ale po raz pierwszy zetknąłem się z taką niechęcią z założenia i to we własnym kraju i to bez cienia własnej winy. Nie mam się też specjalnie za krowiego, podostaniego podrzutka. „Ale, niech tam” — pomyślałem. „Mea culpa”. Nikt nie twierdzi, że zawód dziennikarza należy do łatwych.

Prezentując układ postaci i la Elzbieta II, pani Aspidarte opuściła lokal, obiecując przysłać wywiad w formie pisemnej, po uprzednim zmodyfikowaniu brzmienia pytań 9 i 10. To pierwsze miało po prostu brzmieć: Jak odbiera pani wtorkowe konferencje ministra Urbana?

Uplywały tygodnie. Na moje trzykrotne indagacje w sprawie obiecanego tekstu, tym razem głosem znacznie opanowanym, otrzymywałem zapewnienia, że już, że za chwilę. Spojakaliśmy się także z panią Aspidarte w kulturalnych „Interpressu” przy okazji konferencji wtorkowych, przy okazji wizyty Michaiła Gorbaczowa, przy kilku innych okazjach. Wymienialiśmy uśmiechy, składałem polski sławny pocałunek na dłoń pani Aspidarte i dowiadywałem się, że tekst jest prawie gotowy, ale jego dokończenie uniemożliwiła daleka rodzina z Madrytu, która nagle nawiedziła Warszawę, nawal spraw bieżących itd. Jedyna pociecha, że spotkania te przebiegały już w cywilizowanej formie.

Nie byłoby może w całej sprawie tematu. Można by ją potraktować jako część kosztów profesjonalnych, gdyby nie tak dobrze zapamiętane, miazdzące porównanie nas, polskich dziennikarzy „kopciusków”, z owymi „rekinami” światowych agencji. Dziś, po ponad czterech miesiącach wystrychnięcia na dudka, widzę już tę różnicę wyraźnie. Istotnie trudno byłoby nam dorównać naszym niektórym zagranicznym kolegom w arogancji, uprzedzeniu i wykrętności postaw.

Pocztą literacka

Zenon M. Bielsko-Biała. Prawdę mówiąc, Pański list zainteresował mnie bardziej niż wiersze. Właśnie jako autor listu jest Pan niezablonowanym stylistą, wiersze zaś produkuje Pan pod jeden strychulec, nie wzbogacając ani poezji o nowe środki i pomysły językowe, ani też nie wzbogacając czytelników o nowe przeżycia i znaczenia. Jedyne, co przyciąga uwagę w Pańskich wierszach, to niecodzienne poczucie humoru, owocujące zaskakującymi, mocno atakującymi wyobraźnię skojarzeniami. Np. „wrzask rozciąganych dziewczyniek” czy „tryskający ekstazą serca biust” lub „wiersze to są wilki, które bolesnym wyciem wołają z lasu”. Hm, są to jakieś pomysły, ale przyznam szczerze, iż nie jestem do nich całkowicie przekonany. Wiersze jednak zatrzymuję, chciałbym zastanowić się nad nimi, skonsultować z kimś, kto ma słuch literacki. Zdecydowanie najlepsze są „Lalki”, „Jeśień” i „Gdy...” i te utwory, być może, zamieścimy w „Kamencie”. Musi Pan jednak wiedzieć, że kolejka jest bardzo długa, proszę zatem uzbroić się w cierpliwość.

Ryszard C. Łosice. Przede wszystkim gratuluję, że Pański tonik wierszy już

się drukuje. To, co Pan przysłał, oczywiście zatrzymuję do wykorzystania. Najprawdopodobniej jeszcze jesienią kilka Pańskich wierszy będzie w „Kamencie”. Myślę przede wszystkim o „Depresji”, „Warto” oraz „Jak bardzo się mylą”.

Krzysztof L. Radom. To, co Pan pisze, jest językowo poprawne, fabuła trzyma się kupy, jest nawet w miarę interesująca. Nie rozumiem jednak, dlaczego w każdym opowiadaniu jakiś ponury typ znęca się nad kobietą, bije ją, katuje oraz dlaczego i on i ona znajdują w tym ponurym procederze niezwykle zadowolenie. Nie rozumiem, ponieważ jest to obce moim doświadczeniom. Domyślam się, że penetruje Pan jakieś mroczne obszary ludzkiego życia, dostępne i znane jedynie nielicznym wtajemniczonym. Jeżeli więc tak, Pańska proza powinna być bardziej komunikatywna, klarowna, przejrzysta treściowo. Pisze Pan bowiem dość dobrze (a na pewno poprawnie), ale o rzeczach bardzo mało znanych, dlatego nie może Pan zdawać się na domyślność czytelnika. Niekiedy trzeba w literaturze mówić także wprost, dosłownie. Niech Pan się nie obawia takiej dosłowności tam, gdzie jest ona konieczna, ponieważ rozjaśnia czytelnikowi mroczne strony rzeczywistości. A zatem więcej odwagi! Opowiadania, które Pan przysłał, nie kwalifikują się jeszcze do druku. Za dużo w nich także młodopolskiej stylistyki i emfazy. Proszę wystrzegać się sformułowań w rodzaju „boskie piętno wolności”, „upiorny trans” czy „przejmujący błysk horyzontu”. Są to zwroty mocno już zu-

żyte, a przeto śmieszne i jakby nie na czasie. Proszę podesłać nową próbkę za pół roku.

Bogusław M. Lublin. Domyślam się, że Pańskie pisanie stanowi swoistą terapię na ponure stany ducha. Cóż, samotność nie jest przyjemna, czasami nawet nie chce się żyć. Wydaje mi się jednak, że wybrał Pan nieco złą kolejność zajęć, jeżeli chodzi o spędzanie wolnego czasu. Zaczął Pan chyba od spisywania na gorąco swoich doznań, podczas gdy należało zacząć od lektury dobrej poezji. Wtedy wiedziałby Pan, że „cień złamanego krzykiem serca”, „chłody okrutnej pamięci” czy „zdarte stopy twoich nieśmiertelnych snów” to po prostu zwyczajna grafomania. Nie owijam w bawełnę, gdyż prosił Pan o szczerą, a nawet brutalną, ocenę. Stosunkowo najlepszy jest wiersz bez tytułu zaczynający się słowami „zaczajony pod wysokim drzewem”, ale i on — mimo moich najlepszych chęci — nie kwalifikuje się jeszcze do druku. Proszę parę miesięcy niczego nie pisać, natomiast przez ten czas dużo czytać, zwłaszcza klasyków. A jeżeli uzna Pan po tym, że ma coś własnego do powiedzenia, proszę spróbować i przysłać. Może będzie lepsze?

Stawomir S. Stalowa Wola, Joanna Anna Lublin, Mieczysław Sz. Przemyski. Na druk jeszcze za wcześnie. Radzę dużo czytać.

AP.

Kulisiewicz

W SIERPNIU zmarł w Warszawie Tadeusz Kulisiewicz. Żył długo, 89 lat, podczas których wykonał kilka tek drzeworytniczych i tysiące rysunków: piórkami, ołówkiem, pędzlem, rzadziej kredką.

Kto wie, może był ostatnim artystą, który dostrzegł w ludziach piękno, dobro i godność? Może był ostatnim, który potrafił nas przekonać, że coś takiego naprawdę istnieje?

Kiedy w roku 1965 wdrapałem się na wysokie piętro kamienicy przy ul. Mazowieckiej 7, i zapukałem do mieszkania nr 12, drzwi otworzył szczupły, niewysoki pan, zwieńczony aureolą rozwieszonych siwych włosów, który cichym głosem i miłym uśmiechem zaprosił do wnętrza przyszłego autora pracy magisterskiej pt. „Ewolucja formy w grafice i rysunku Tadeusza Kulisiewicza”, napisanej pod kierunkiem przeznaczonego profesora Piotra Bohdziewicza.

Inaczej wyobrażałem sobie słynnego artystę, który od roku 1928 regularnie otrzymywał różne wysokie nagrody: rządowe, miejskie, państwowe, biennale w Wenecji i Sao Paulo, był członkiem korespondentem Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie i członkiem honorowym podobnej instytucji we Florencji.

Kulisiewicz okazał się człowiekiem bezpretensjonalnym, jakosć zwyczajnym, a zarazem łagodnym, spokojnym.

W samej pracowni, gdzie rozmawialiśmy kilka godzin, także próżno byłoby szukać emblematów pomysłowości artystycznej i życiowej gospodarza. W tej przestrzeni, otwierającej się długim oknem na ul. Mazowiecką, przy której w międzywojniu znajdował się, pod nr 8, ceniony salon sztuki Czesława Garlińskiego — miejsce debiutanckiej wystawy Kulisiewicza w roku 1930 — dominował stół nakryty dużą deską kreslarską. Widniały na nim buteleczki, kalamarze, flakoniki, czarki, pęki ołówków, pospolite obsadki szkolne ze stalówkami, długopisy, papiery, a wszystko to prządnie poukładane „na swoim miejscu”.

Wziąłem do ręki jedną z obsadek, przejechałem stalówką po palcu i nic — nic nie wyskoczyło ze środka, nie trysnęło jakimś specjalnym inkaustem! A przecież takim prostym narzędziem, przy pomocy kalkunastu krespek i linii czystych jak profil hinduskiej dziewczyny, Kulisiewicz potrafił budo-

wać struktury rysunkowe o niebywałej harmonii i logice, a przy tym zawsze coś oznaczające: radość i troskę człowieka, utajone, magiczne życie szkieletów, meksykańskich łodzi czy sieci weneckich rybaków.

W tym okresie Kulisiewicz posługiwał się już wyłącznie piórkami i czarnym tuszem, czasami tylko lawowanym, rozprowadzanym pędzlem na sposób malarstwa. Wcześniej przecież z upodobaniem stosował kolor, poczynając od cyklu rysunków meksykańskich z 1958 roku. Użył farby wiążącej się z przeróżnymi zabiegami technicznymi, które dawały „ciekawe” efekty fakturalne. Na przykład kawałki tkaniny maczane w akwareli, przyłożone, a następnie oderwane od papieru pozostawiały ślady nici, zaś specjalne grunty zatrzymywały na powierzchni i krystalizowały materię tuszu i farby. Ale had wewnętrzny takich rozmalowanych prac artysty i tak zależał od rysunku, który oznaczał, rozwijał sens owych „światów w miniaturze”.

W pracowni Kulisiewicza zwracały ponadto uwagę egzotyczne figurki zwierząt i ludzi, ceramiczne lub drewniane, stojące m. in. na podokiennym parapacie — obok zasuszonych kwiatów, kawałków stał i obłych kamieni. Były to pamiątki z licznych podróży artysty.

Już przed drugą wojną światową Kulisiewicz odwiedził Francję, Belgię, Włochy i Anglię. Po roku 1945 przebywał w Rumunii, Francji, Holandii, Czechosłowacji, Chinach, w Berlinie (na zaproszenie Bertolta Brechta), w Indiach, Meksyku, Italii, Brazylii i na Kubie, chyba gdzieś jeszcze. „Ale w tych wszystkich podróżach Kulisiewicz nie szukał egzotyki, efektownego folkloru ani powierzchniowych unieśień nad pięknem odmiennego krajobrazu. Obecna była postawa turysty, wszędzie i zawsze umiał być przyjacielem i rozumiejącym, bystrym obserwatorem tego wszystkiego, co pod urzekającą powierzchnią zjawisk mogło być ważne dla jego własnej wizji człowieka, ujmowanego zawsze w kontekście jego najbliższego, codziennego otoczenia, tego, co określa jego los, co oznaczane jest jego obecnością i pracą” — trafnie zauważył Wojciech Skrodzki w katalogu ostatniej wielkiej retrospektywy Kulisiewicza, czynnej kolejno w warszawskiej „Zachęcie” i w Muzeum Ziemi Kaliskiej (1979).

Rezultatem owych podróży były cykle świetnych rysunków: „Indie”, „Meksyk”, „Laguna Wenecka”, „Brazylia”, „Wspomnienia kubańskie” i inne. Pod względem formalnym i w sferze klimatu emocjonalnego różnią się one od siebie tak bardzo, jak odmiennie są pejzaże, tradycje kulturowe i sposoby życia mieszkańców tych krajów. Inaczej przedstawiają się nawet cykle brazylijski i kubański. Jeśli w tym dorobku odnajdujemy niejako podobieństwa, to głównie w warstwie technicznej (fakturę odciskanej tkaniny spożytkamy m. in. w „Meksyku” i „Lagunie Weneckiej”).



Tadeusz Kulisiewicz — 1930—36 „Szlembar” — „Głód” 1930.

Fot. E. Kozłowska-Tomczyk

Zobaczyć, doświadczyć, zanotować w szkicowniku, następnie narysować rzecz skończoną w pracowni — takie postępowanie nieodmiennie określało Kulisiewiczowy proces kreacji.

Ulubione miejsca długoletnich pobytów artysty znajdowały się przecież w Polsce. Najpierw, aż do połowy lat sześćdziesiątych, stałe odwiedzał Szlembar, gromadząc tam materiał do wydanych przed wojną czterech tek drzeworytów, przedstawiających dumę, godność i swoistą malowniczość mieszkańców Podhala, a jednocześnie ich ciężki los biedniaków. Następnie zamieszkał się w Kirach pod Zakopanem, gdzie m. in. wykonał cykl „Pejzaże górskie”...

Po napisaniu pracy magisterskiej tylko dwa razy miałem okazję zetknąć się z Kulisiewiczem, zatem nie stroję się w kostium „dobrego znajomego wybitnego artysty”. O swojej wizycie w mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej 7, pozwoliłem sobie wspomnieć jedynie dlatego, że coś tam wreszcie ważnego zrozumiałem.

Odszedł od nas wybitny, uładny artysta, który znajdował u ludzi to, czego my zwykle nie jesteśmy w stanie już dostrzec.

IJK

Ekran i widz

Być sobą w „świecie cisy”

O TYM filmie wspomniano już na łamach „Kamena” (nr 13 z 26 VI br.), w artykule dokonującym oceny tegorocznych „Konfrontacji”. Obecnie, gdy „Dzieci gorszego Boga”, reżyserowane przez Amerykankę Randy Haines, zostały wprowadzone do szerokiego rozpowszechniania, warto mu poświęcić więcej uwagi.

Z pozoru ta historia miłości dwojga młodych ludzi, nauczyciela i jego uczennicy, głuchoniemej dziewczyny, mieści się we wcale obfitym nurcie doskonale nieraz zrealizowanych filmów o ludziach niewidomych lub niesłyszących, którzy ogromnym wysiłkiem woli i z pomocą pełnych poświęcenia nauczycieli-wychowawców lub osób bliskich zwyciężają swoje kalectwo, dołączając do świata normalnych ludzi. Do takich filmów należały m. in. oglądane u nas „Serce to samotny myślarz” lub „Cudotwórczyni”.

Wyjątkowość „Dzieci gorszego Boga” polega na tym, że — odmiennie od dotychczasowych — film ten ukazuje świat ludzi normalnych z perspektywy osób przynależnych do „świata cisy”. Daje obraz środowiska, które — niewątpliwie mając świadomość pewnego upośledzenia — żyje zarazem swoim własnym, bogatym życiem, gdzie jest miłość i na miłość, i na sukcesy zawodowe, i także szczęście rodzinne. Dramaty zaczynają się najczęściej dopiero na styku obydwu tych światów, gdy okazuje się, że pewnych granic odrębności nie da się żadną miarą — mimo największych zdobyczy — przekroczyć.

Młody, pełen zapału, pracujący niekonwencjonalnymi metodami, dający doskonałe wyniki, nauczyciel James Leeds (gra go doskonały aktor amerykański William Hurt, który w 1984 r. otrzymał Oscara za kreację aktorską w filmie „Pocałunek kobiety-pajaka”) jest zdania, że głuchoniemych można nauczyć nie tylko mówić, ale nawet śpiewać rockowe przeboje (co mu się zresztą udaje), a więc uczynić ich ludźmi nie odróżniającymi się od ogółu społeczeństwa. O jednym tylko zapomina: że jego wychowankowie, mimo najlepszych wyników osiągniętych wspólnie z nauczycielem, wciąż pozostają osobami tylko sprawiającymi wrażenie ludzi pełnosprawnych.



Marlee Matlin (Sara) i William Hurt (James Leeds)

James Leeds znacznie sobie uświadamiać ten fakt dopiero po poznaniu pięknej, wrażliwej i zaklepanej w swoje niemocie Sary, młodej kobiety, dawniej wychowanki tutejszego zakładu dla głuchoniemych, gdzie pracuje obecnie w charakterze oprzątkowiczki, struktując ów rodzaj pracy jako swoistą

kontestację. Sara dystansuje się od świata ludzi normalnych usiłując w ten sposób podkreślić własne „ja”, własną tożsamość; nie chce dać się „uszcześliwić na siłę”, nawet kosztem zerwania z kochającym ją Jamesem, oddanym swej teorii „zintegrowania głuchych ze słyszącymi”. Prawda leży gdzieś pośrodku i oboje bohaterowie w końcu dojdą do tego wniosku, łącząc się znów w imię miłości, chociaż aby zapewnić filmowi należy happy end.

Wpisując swoją filmową opowieść w konwencję dość klasycznego melodramatu, potrafiła zarazem Randa Haines ukazać w sposób niekonwencjonalny uczucie łączące parę bohaterów, zaś przedstawianym tutaj problemom nadać głębszą treść filozoficzną. Zdołała poza tym w sposób doskonały uchwycić specyfikę i atmosferę panującą w zakładach pomagających ludziom niesłyszącym wyostać się ze „świata cisy”. Umiała uchwycić w sposób wyrazisty i przekonujący różne sylwetki uczniów-wychowanków oraz ich nauczycieli. Nakreśliła wspólną sekwencję wieczorku towarzyskiego, w którym uczestniczą (poza jedynym słyszącym — Jamesem) same osoby głuchonieme...

Zawdzięcza to Randa Haines swoim talentom dokumentalistycznym-reporterskim. Jest z zawodu realizatorką programów telewizyjnych. „Dzieci gorszego Boga” były jej debiutem kinowym. Wykazała również umiejętność nawiązania kontaktu z osobami niesłyszącymi. Jako że w tym filmie szeregi ról grają właśnie aktorzy głuchoniemi, i to doświadczenie wyróżnia „Dzieci gorszego Boga” od dotychczasowych dzieł o podobnej tematyce.

Co więcej: świetna w roli Sary aktorka Marlee Matlin straciła słuch już wkrótce po urodzeniu i sama jest wychowanką jednego z amerykańskich zakładów dla dzieci głuchoniemych! Studiowała prawo, ale od dzieciństwa marzyła o tym, aby zostać aktorką. Wydaje się rzeczą wręcz niepojętą, ale Marlee Matlin nie tylko nauczyła się sztuki aktorskiej, lecz doprowadziła ją do takiej perfekcji, że za rolę Sary przyznano jej nagrodę Oscara. A jest to nagroda, której nie daje się za dobre chęci czy za „wkład pracy”, ani z miłości, ani z litości, tylko za autentyczne, artystyczne dokonania.

Z prawdziwą przyjemnością i wzruszeniem obejrzałem ten naprawdę humanistyczny film będący nareszcie wytechnieniem dla widza przyłoczonego nawalą zbrodni, gwałtu i przemocy, nieustannie obecnych na kinowych ekranach.

M.D.

Tomasz Wilczkiewicz rozśmiesza

DZISIAJ PANOWIE PRZEROBIMY SOBIE CAKĄ HISTORIĘ!



WILCZKIEWICZ



WILCZKIEWICZ

SYMULTANA



WILCZKIEWICZ

NIESTETY! NIE STAĆ MNIE NA CAKĄ KSIĄŻKĘ!



WILCZKIEWICZ



WC

WILCZKIEWICZ

DWIE SETKI I ŚLEDZIKA POPROSZĘ!



POLAM

WILCZKIEWICZ

Krzyżówka nr 19 z szyfrem

Poziomo: A, drzewoznawstwo • zjawisko o takich samych cechach, podobnych elementach, C, stolica skandynawska • wróżba lub prognoza • metalowy szmelc, E, elementy urozmaicające obraz • gąsi pożar • rozrusznik, G, przeciwieństwo ubóstwa • baty, lanie • dwu- lub więcejstronna zgodność obrazu, I, opera Muniuszki • miasto we Włoszech znane z soborów • sędliwość wieku, K, dzieło • małopólud z wczesnego plejstocenu • bardzo gęsto zaludniona wyspa Indonezji, M, mieszka w Lublinie • zabezpiecza przed zaproszeniem ognia z porowozu.

Pionowo: 1, mały okrągły cukierek • sprzedaje miejsca do noclegu, 3, mięso wiszące na haku, 4, polna lub bita • kamień szlachetny — marka telewizora, 6, wychowawczyni, niania, 8, przepływa przez Cieszyn • rzeka z historii Ludowego Wojska Polskiego • milczą, gdy dusza śpiewa, 10, rozped • założyciel ruskiej i moskiewskiej dynastii, 11, resztki starej budowli, 12, zwierzę hodowlane • los, 13, czasopismo wodniaków, 14, ograniczenie jedzenia • trakeja, 16, otwór w ścianie • kąśliwy owad • hrabia de la Fere, 18, potrzebny do obsługi i tworzenia nowoczesnych technologii, 20, szczególna ochrona • zamknięty etap bridge'a, 21, rybi okres godowy, 23, brzęczy nim utnie • upina cholewkę na kopycie.

SZYFR

112. K13 / D12. C20. J18. M9. M2 / A15. B.20. K22. M11. A23 / G1. A6. K4. K6. M16. E3. E14 / C12 / K14. M15. G12. E21. A21. M8. G3. K16. G17. C23 / A5. C11. E15. J10 / E13. I11. G10. K23. K11 / A14. C22 / G18. L4. I22. M1. M18. / C8. I7 / K9. I21 / M6. A11 / C1. G13. D20. H21 / M21. K15. A9. C15. L10 / C16. G22. L23 / M14. A8. C7. I19. K8. E18. K21.

Rozwiązanie wyrazów pomocniczych i szyfru należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231, 20-950 Lublin).

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 1000 zł.

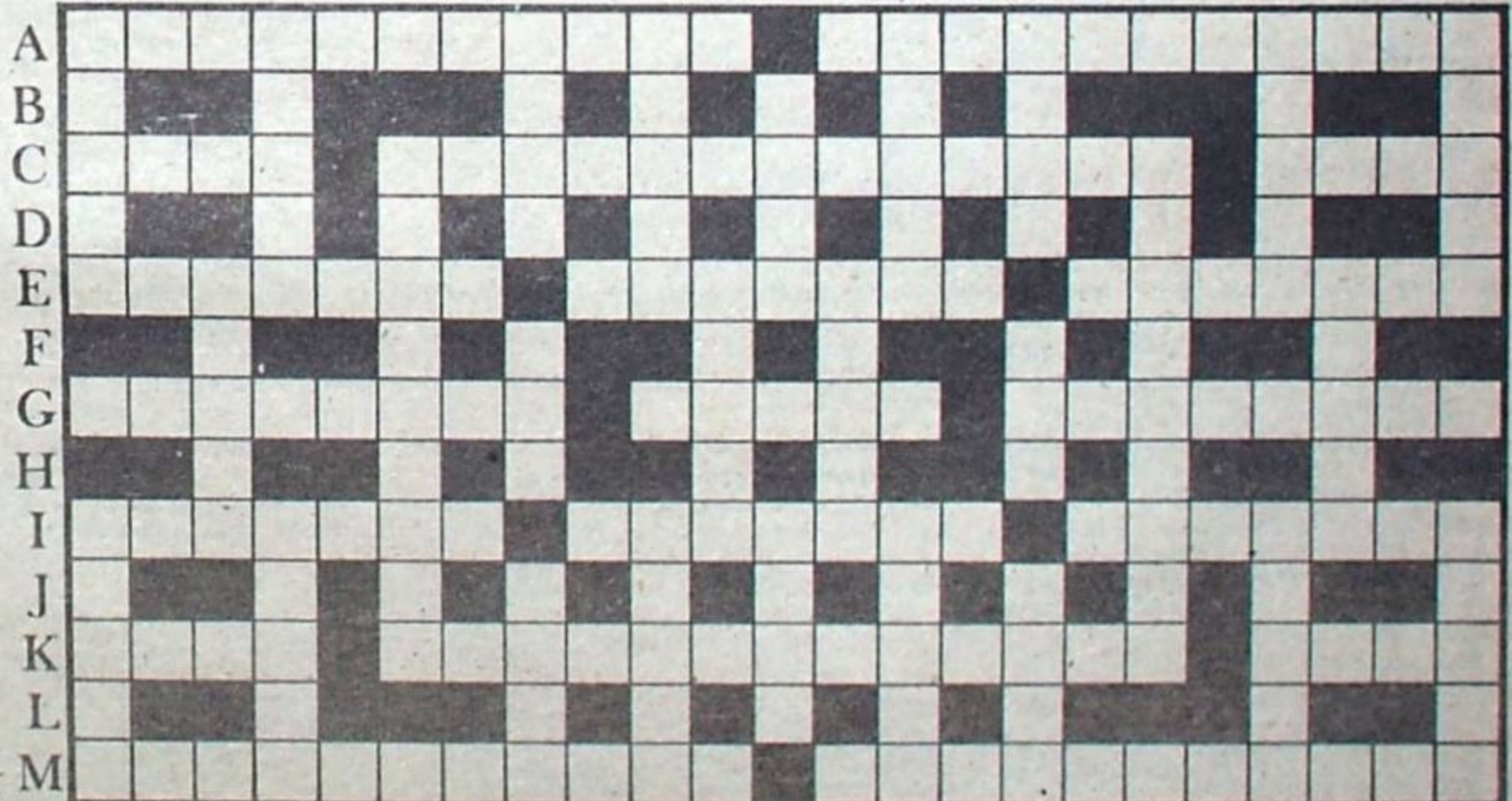
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 17 Z SZYFREM

Poziomo: zastrzyk, Parnicki rekreacja, kontrola, rzeszoto, marszałek, Niagara, tapioka, alfa, Apis, wino, pole, gęsi, dach, Akra, Błok, ambaras, kłusaki, onkologia, trenerka, Rzeczyca, Zawiercie, Krystyna, Surabaja, Pionowo: zakon, Antek, idiom, Sonda, Biesy, grota,

rukka, rdest, rupia, Kram, Ala, oaza, arlekin, presja, Adonis, kabala, biodro, epigoni, park, sek, Ares, anioł, nasy, uncja, Indus, czolo, Adyga, kacyk, ikona, Ilawa, SZYFR

Polski katolik nie wierzy w Boga, tylko w proboszcza. Roman Bratny Upadek „Ludowej” Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 17 nagrodę wylosowała Ewa Tylko, Al. Konstytucji 3 Maja 32 m. 62, 26-110 Skarżysko-Kamienna.

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23



Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13-16). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 253-30.

Adres redakcji: 20-929 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 253-94, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950, Lublin, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1632, 1 IX 88, A-2.

Humoreski Ephraima Kishona

Walka z inflacją to główne zajęcie naszych władz finansowych. Rząd wydaje rygorystyczne instrukcje, wymyśla nowe podatki i stara się zabezpieczyć bankom ich nadmierne zyski. Pomaga mu w tym wydatnie ludność izraelska. Głównie w formie oraz bardziej wchodzących w modę napadów na banki.

Taki sobie zwyczajny napad na bank

ZACZEŁO się od tego, że Weinreb dał mi czek na szesnaście funtów, płatny w banku Leumi, filia w Abu Kabir. Pojechałem tam i wręczyłem czek właściwemu urzędnikowi.

Urzędnik rzucił okiem na mój czek, potem na konto Weinreba, i powiedział: — W porządku. Pieniądze wypłaci panu kasa.

Podszedłem do okienka, które mi wskazał.

— Szalom — powiedziałem.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał kasjer.

— Pieniądzy — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

— Proszę bardzo — powiedział kasjer i wyjął ze stojącego za nim sejfu nareczkę banknotów, żeby mi je wręczyć.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem.

— Spełniam pańskie żądanie. Przy napadach na bank z bronią w ręku mam instrukcję nie stawiać żadnego oporu.

Kaskada śmiechu, którą wybuchnąłem, nie spotkała się z jego zrozumieniem.

— Cha, cha, cha — przedrzeźniał mnie. — Bardzo śmieszne, prawda? To jest mój piąty napad w tym miesiącu.

Usiłowałem wytłumaczyć, że nie mam żadnej broni i chcę wziąć tylko swoje pieniądze.

— Panie Singer! — zawołał kasjer do siedzącego przy następnym biurku urzędnika. — Proszę, niech pan zaraz przyjdzie. Mamy tu, zdaje się, do czynienia z jakimś trochę stukniętym gansterem.

— Już idę.

Pan Singer skończył swoją robotę i podszedł do okienka niosąc pokaźną wiązkę obanderolowanych banknotów: — Dzisiaj niestety więcej nie mamy. Dopiero w piątek, kiedy się wypłaca

pobory. A poza tym — dlaczego pan nie ma pończochy na głowie?

— Bo mnie laskocze.

Wytworzyła się osobliwa i dla mnie trochę niemiła sytuacja. Naokoło tłoczyli się gapię, mrugali do mnie, przekrzykiwali się nawzajem. Ktoś rzucił się do drzwi, za którymi czekała jego żona:

— Dzieci! Prędko! Przyprawdź prędko dzieci! Tu jest napad na bank! Stos banknotów piętrzył się ciągle przede mną, a ja usiłowałem wytłumaczyć panu Singerowi, że nie zamierzam ich brać.

— Niechże pan bierze, niechże pan bierze — zachęcał mnie pan Singer.

— My jesteśmy ubezpieczeni.

Jak się później od niego dowiedziałem, w ubiegłym tygodniu dwie małe dziewczynki obrabowały filię w Jafie, a tamtejszy kasjer przekazał jemu, Singerowi, wiadomość, że z kolei przewidziany jest do obrobienia oddział w Abu Kabir. Od tej chwili Singer czekając na to wydarzenie starał się gromadzić coraz większe sumy gotówki.

— To należy już w bankach izraelskich do właściwie pojętej obsługi klienta — powiedział nie bez pewnej dumy. — Wypracowaliśmy też dla naszych klientów reguły racjonalnego zachowania się w czasie napadu. Wszystko idzie jak po maśle.

W samej rzeczy: klienci, którzy znajdowali się w banku podczas mego napadu, leżeli płasko na podłodze i w tej pozycji korzystali z obsługi urzędników. Po załatwieniu odpełzali na czworakach do wyjścia, nowi zaś, także na czworakach, wpełzali do banku.

— Dawniej — ciągnął pan Singer swoje wyjaśnienia — dawniej napady na banki odbywały się według klasycznego ceremoniału, trzeba powiedzieć — uciążliwego. Gangsterzy byli zama-

skowani, strzelali na postrach, krzyčili, grozili. Dziś wszystko odbywa się jakoś racjonalnie, a izraelskie banki, doceniając to, udzielają tym nowoczesnym metodem swego całkowitego poparcia. W tych dniach, na przykład, dwóch ludzi uzbrojonych tylko w śrubokręt, ułożyło bankowi Barclaysa w Ramatajim na sto tysięcy funtów, a w filii naszego banku w Petach Tikwa pokazano kasjerowi tylko smoczek niemowlęcy. I poskutkowało. Wczoraj ukazało się w gazetach ogłoszenie banku dyskontowego z Hajfy: „Bank uprasza, aby w miesiącach letnich wszelkie napady wykonywane były jedynie w poniedziałki, środy i czwartki”.

— Precz z biurokracją — warknąłem.

— Pan niewłaściwie do tego podchodzi — odparł Singer. — To jest wspaniałe osiągnięcie, o jakim Herzl nawet nie śmiał marzyć: my nareszcie mamy swoich własnych kryminalistów. Nareszcie jesteśmy normalnym narodem... Batja — zwrócił się do sekretarki. — Czy wezwala pani policję?

— Próbowałam — odparła Batja żując gumę. — Ale numer jest ciągle zajęty.

— To niech już pani zostawi — rzekł pan Singer.

Przeliczając stos pieniędzy zapytałem jednocześnie pana Singera, jak to jest, że nie ma tu żadnych urządzeń alarmowych.

— Ze względu na hałas — wyjaśnił mi. — W banku Hapoalim podczas ostatniego napadu dzwonki alarmowe dzwoniły przez całą godzinę. Pan sobie nie wyobraża, ilu urzędników doznało z tego powodu szoku nerwowego.

— A gdzie są uzbrojeni strażnicy? — pytałem dalej.

— Gdzieś na zewnątrz. O tej porze nasz dyrektor naczelny wychodzi z psami na spacer — ktoś musi go przecieć ochraniać.

Tymczasem kasjer zapakował banknoty do dwóch zgrabnych walizeczek dostarczonych przez bank i zapytał mnie, gdzie zaparkowałem skradzione auto, którym zamierzam uciec.

Gdyśmy wychodzili z banku, otoczył nas tłum ciekawych. Wielu chciało mi zrobić zdjęcie. Prosiłi, żebym trochę zamaskował twarz i żebym nie robił takich głupich grymasów. Na końcu ulicy widać było kilku policjantów zajętych budowaniem barykady.

— Ale to nieprawda.

— Nie bądź idiotą. Kobieta jest żoną tego sędziego. Wszystko, Wajsberger, musi być z góry zaplanowane. Więc sędzia ringowy będzie usiłował nas rozdzielić, ale ty wcisniesz mu głowę między liny, a kiedy będzie ledwie dyszał, ściągniesz mu spodnie. Ze wstydu zemdleje. Sprowadzony z sali lekarz stwierdzi atak serca.

— Wielki Boże!

— Przystań wreszcie jęczeć, Wajsberger. Doktor także jest nasz. Zanim nowy sędzia wejdzie na ring, publiczność urządza koncert gwizdania przeciwko tobie. Ty się znowu wypinasz, pokazujesz język, robisz różne nieprzyzwoite i obraźliwe gesty.

— Czy to konieczne?

— Taki jest zwyczaj. Tymczasem policja dostaje posiłki z komisariatu i obstawia ring dookoła.

— Czyżby policja... też?

— A coś ty myślał? Nasza walka toczy się dalej i jest coraz bardziej bestialska. Wkładasz mi palce w oczodoły i naciskasz tak, że gąły mi lada chwila wypłyną...

— Uj, niedobrze mi... Dałoby się to może jakoś inaczej?

— Wajsberger, bądź mężczyzną. Catch-as-catch-can to nie zabawa. Bezrobocie tym bardziej.

— Ale ja nie jestem żadnym brutalnym. Ja jestem tylko gruby.

— A jak byś ty chciał wygrać bez brutalności?

— To znaczy, że ja tę walkę wygram?

— Powiedziałem tylko „chciał”. O wygraniu mowy nie ma. Ja, Samson Ben Portat, Duma Negewu, z arabskim potworem przegrać nie mogę. Co do tego, to ty nie powinienes mieć żadnych wątpliwości. Dobra. Siedzisz więc na mnie i wykręcasz mi stopę tak straszliwie że ja się zwiżam z bólu. W pewnym momencie padam na łopatkę.

„W tył zwrot, pan Lot!” — pod takim tytułem nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego ukazał się zbiór humoresek Ephraima Kishona w tłumaczeniu Stanisława Lewańskiego. Ten, tworzący w języku hebrajskim, pisarz opublikował 50 książek. Jego utwory tłumaczone są na wiele języków: tylko w samej RFN łączny nakład książek Kishona osiągnął prawie 20 milionów egzemplarzy!

„Czytelnik polski — czytamy w przedmowie do książki — fenomen Kishona może przyjąć z pewnym zaskoczeniem. Bo u nas humor żydowski wciąż kojarzy się przede wszystkim z przedwojennymi szmoncesami [...] Tymczasem bohaterowie Ephraima Kishona to postacie z innego wymiaru. To ludzie żywi i nam współcześni, przechadzający się ulicami nowoczesnych miast a nie żadnego Chełma lub Berdyczowa. Czera drugiej wojny światowej inaczej odczytywana jest w Polsce, inaczej zaś na Bliskim Wschodzie, gdzie przed czterdziestoma laty powstało nowe państwo.

W rozmowie z dziennikarzem „Sterna” Kishon wyznał: „nazywają mnie ostatnim żydowskim humorystą. Mogę być z tego dumny [...] ale to nieprawda. Jestem pierwszym humorystą izraelskim. To, co piszę, również dobrze mógłby napisać Czech lub Szwajcar...”

Ephraim Kishon urodził się w 1924 r. W wieku 25 lat opuścił swoją węgierską ojczyznę i przybył do Izraela. Przedtem nazywał się Franz Hoffman.

Z zasady nie dokonujemy przedruków z książek, które już się ukazały na rynku, tym razem jednak czynimy wyjątek, bo czytając humoreski sami ubawiliśmy się serdecznie.

(Red.)

Rozdałem trochę autografów i uczyniłem ostatnią próbę zwrócenia obu walizeczek bankowi. Singer odmówił stanowczo:

— Nie trzeba, nie trzeba. Powiadomiliśmy już naszą centralę. Towarzystwo ubezpieczeniowe też zaraz tu będzie i uzupełni naszą kasę do poprzedniego stanu. Unikajmy komplikacji. Co najwyżej gdyby pan zechciał jeszcze chwilę poczekać — zaraz nadjedzie telewizja.

— Przykro mi, ale nie mam czasu — pożegnałem pana Singera serdecznym uściskiem dłoni i podjechałem do najbliższej stacji benzynowej.

— Ile? — zapytał obsługujący.

— Ile wejdzie — odpowiedziałem. Obsługujący otworzył mój bagażnik i wrzucił tam wszystkie pieniądze, jakiego miał.

— Pokwitowanie odbioru będzie panu potrzebne? — zapytałem.

— Dziękuję, nie. Jestem ubezpieczony.

Jaka szkoda, pomyślałem, jaka szkoda, że mamy teraz w kraju inflację. Kiedyż nareszcie staniemy się normalnym narodem!

Sędzia zaczyna mnie liczyć. Ale właśnie, gdy dochodzi do dziewięciu, ja nagle odwracam się i drugą, tą wolną nogą, daję ci takiego kopa w brzuch, że ty...

— Uj, nie, nie!

— Kopnięcie jest już zafiksowane. Wajsberger. Odrzucam więc cię na trzy metry, ty zaplątujesz się w liny, ja skacze na ciebie, rzucam cię na matę i wśród dzikiego wrzasku publiczności kładę na łopatkę. Gdy sędzia ogłasza moje zwycięstwo, rzucasz w niego stolkiem.

— Stolkiem?

— Stolkiem. Po to właśnie stoi w narożniku. Ale nie trafisz w sędziego, tylko w takiego starszego pana, który siedzi w trzecim rzędzie. Staruszek, jęcząc, pada na ziemię. Oburzony tłum rzuca się w stronę ringu, żeby cię zlinczować.

— Na miłość boską!

— Nie ma strachu, Wajsberger, zareczam ci. Czyżbyś jeszcze nie pojął tego wszystkiego? Widzowie także należą do siwy. Wiedzą, że mają cię zlinczować, gdy tylko starszy pan osunie się z krzesła.

— No dobrze, ale... jeżeli ktoś odkryje, że to wszystko jest wyreżyserowane?...

— Co to znaczy „ktoś”? Czyżbyś przypuszczał, że będę czekał, aż się w naszę szeregów wcisnie ktoś niepowołany? Wajsberger, Wajsberger! Przerobność wprowadzie nakazuje liczyć się z interwencją policji. Ze niby oszukujemy publiczność. Ale nam potrzebny jest ruch. Nam potrzebna jest reklama w prasie. Na cud nie wolno liczyć. Masz jeszcze jakieś pytanie?

— Tylko jedno. Jeżeli ci ludzie wiedzą, że będą oszukani, to czemuż oni przychodzą na nasze walki?

— Bo oni są miłośnikami sportu. Wajsberger. Oni kochają sport. Oni są idealistami.

Krótki kurs atletyki profesjonalnej

WIĘC uważaj pilnie, Wajsberger. Wchodzisz na ring, ale nie tak zwyczajnie, tylko skaczesz nad linami jak pantera.

— A dlaczego?

— Dlatego, że ty, Wajsberger, jesteś Potworem z Tangeru. Ile razy mam ci to powtarzać! Dalej. Widzowie zaczynają na ciebie gwizdać. Wtedy ty się na nich wypinasz, a dystygowane-mu panu siedzącemu tuż przy ringu strącasz okulary i rozbijasz nos. Ale tak, żeby się krew polala.

— Koniecznie tak muszę?

— Nie zadawaj głupich pytań. On już zresztą jest opłacony. Jako brutal chwytasz jeszcze sędziego za kołnierz i wyrzucasz go z ringu.

— Biedny gość...

— Biedny? Już ty się o niego nie martw — dostaje swoje trzy procent od wpływu brutto. Kiedy wróci na ring, będzie chciał ci udzielić upomnienia. A tym mu się tylko roześmiesz w nos i pogroźisz pięścią. W tym momencie jeden z podnieconych widzów

złazi w twoją stronę flaszkę po piwie, żeby ci rozbić głowę...

— A j, waj!

— Nie ma strachu, Wajsberger. On chybi. Na pewno. Ten facet już nie pierwszy raz do mnie rzuca. A poza tym policjanci natychmiast go wyprawdzą.

— Można im zaufać?

— Spokojna głowa! Wczoraj prze-wiczyliśmy z nimi tę scenę dwa razy. Wszystko w porządku. A teraz pomówmy o naszej brutalnej walce. Od pierwszej chwili nie ma żadnych wątpliwości, że o regulach czystej gry nigdy w życiu nie słyszałeś.

— A czemu?

— Wajsberger, zaczynam w ciebie wątpić. Kim chcesz w końcu zostać: zawodowym atletem czy żebrakiem? A więc: nadrywasz mi uszy, rzucasz na matę, skaczesz po mnie kopytami i przeklinasz po arabsku.

— Wolalbym po żydowsku...

— Nie wchodzi w rachubę. Zapominasz, Wajsberger, że ty jesteś Potwór z Tangeru. Kiedy ty mnie będziesz poniewierał, wyskoczy nagle z drugiego rzędu pewna pani i zacznie histerycznie krzyczeć: „Ja nie mogę na to dłużej patrzeć! Pfu! Wyrzucić tego kalosza! Potwór z Tangeru — przekupił sędziego!”

Dzięki telewizji popularność sportu w Izraelu rośnie. By ściągnąć parę tysięcy żydowskich fanatyków, nie trzeba aż dwudziestu dwóch piłkarzy — wystarczy niekiedy dwóch ciężkiej wagi zapaśników. Pod warunkiem jednak, że znają się na interesach. Nie chcą przez to powiedzieć, że w sporcie profesjonalnym chodzi wyłącznie o szmal. Chodzi także o to, aby publiczność tego nie zauważyła.